ROK XI. LIPIEC — 1911 ROK. TOM VII (CXVI).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.



CZĘSTOCHOWA
Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.
Filja w Warszawie: Ul. Aleja Jerozolimska Nr. 29.
1911.

Drukarnia Polska, Warszawa, Jasna 18/20.

Treść tomu lipcowego 1911 roku,

ogólnego zbioru CXVI.

ILLUSTRACYE:



Marcin Kopiec.

KRÓL SOBIESKI NA ŚLĄSKU

w kościołach

w drodze pod Wiedeń.

(Ciąg 19-ty).

Górny Śląsk zluteranizowany. — Wyjątkowi mężowie, jako obrońcy ludu i wiary katolickiej.

Zarzewie, rzucone w ziemię górno-śląską przez wiecznie głodnych ziemi Brandenburgczyków, tliło się, wybuchało i przygasało przez długi szereg lat dziesiątek, aż w końcu wybuchło strasznym, niszczącym płomieniem, który objął Czechy, Morawy, Saksonję, Łużyce, Śląsk i wszystkie księstwa i księstewka niemieckie od brzegów Renu aż do brzegów Bałtyku. Była to trzydziestoletnia religijna, bratnia wojna, ciągnąca się od roku 1618 — 1648, przed którą rozsądni Niemcy, jak Scheffeln i inni, rodaków swoich dziś przestrzegają słowami: Strzeżcie się wojny bratniej! oby ona nigdy nie powróciła!...

W tej to długotrwałej walce religijnej, zapoczątkowanej na Górnym Śląsku w roku 1529, w Głupczycach, wówczas, kiedy sejm książąt śląskich, na czele z Jerzym, margrabią Brandenburgskim, zatwierdził konfesyę Augsburską, w tym to długim okresie czasu wyrastały pokolenia w strasznej nienawiści. Fala luterańsko-germańska, napływająca ze wszystkich stron do ziem górnośląskich, usuwała wszelkie zapory, zdobyła wszystkie placówki, zagarnęła szkoły, kościoły, osady, wsie i miasta, tak dalece, że już w roku 1557, cała Administracya ziem Raciborsko-Opolskich, wszystkie zarządy miast, z wyjątkiem Gliwic, Glo-

gówka, Koźla, znalazły się w szponach luteranizmu. A jednakże w tej śmiertelnej walce religijnej, która się zamieniła na walkę rasową, znaleźli się mężowie nieugiętego charakteru, jak: Opersdorfowie, Malcanowie, Pruszkowscy, Kochciccy, Wilczkowie, Żyrowscy, Szeligowie, Lasotowie, Nosowie, Czamborowie, Strzelowie i wiele innych, którzy, wraz z prześladowanym przez luteran ludem, stawili rozpaczliwy opór przeciw wdzierającemu się ze wszystkich stron rozhukanemu wrogowi luterańskiemu, w granice Górnego Śląska.

XIV.

Jan-Zygmunt Zapolia, nowy dziedzic Księstw Raciborsko-Opolskich, nieletni synek Izabelli, córki Zygmunta starego i Bony Sforcyi. — Baltazar Promnic, biskup Wrocławski. — Jan Opersdorf, pierwszy Namiestnik ziem górno-śląskich. — Stany śląskie i kamera wrocławska.

Po usunięciu przez cesarza Ferdynanda I, strasznego brandenburgczyka, Alberta z Kulmbachu z granic państwa Raciborsko-Opolskiego, znalazł się pretendent do dziedzictwa ziem Górnośląskich. Był nim mały synek Jan-Zygmunt, syn Jana Zapolyi-Zapolskiego, księcia Siedmiogrodzkiego, którego Soliman II na tron Węgierski wprowadził. Zapolya pojął w małżeństwo Izabellę, córkę Zygmunta starego i Bony Sforcyi, a siostrę Zygmunta-Augusta, lecz już po niespełna dwuletnim pożyciu małżeńskim zmarł, pozostawiwszy bez żadnego majątku wdowę i małego synka Jana-Zygmunta, którego matka, jako zwolenniczka socyanizmu, także w socyanizmie wychowywała. Cesarz Ferdynand, chcąc się królowej-wdowy pozbyć, ponieważ mu nie była na rękę, małego synka Jana-Zygmunta w roku 1551 na księcia ziem Raciborsko-Opolskich sankcyonował, przydawszy mu do nich jeszcze i ziemię Ziembicką. Izabella tedy, jako królowa Węgier, Dalmacyi i Kroacyi, po długich zabiegach dosięgła swego celu i stała się władczynią ziem górnośląskich w zastępstwie nieletniego swego synka Jana-Zygmunta od 1551 — 1557 roku.

Smutne były rządy Izabelli na Górnym Śląsku. Z narodem się nie łączyła. Krzywdy, wyrządzone ludowi przez poprzednich władców Brandenburgczyków, wcale ją nie obchodziły. Bezrząd wzmagał się z dniem każdym. Piękną była niewiastą, lecz obojętną, nie czułą na wszystko i na wszystkich. Objeżdżała wszystkie zamki piastowskie z całym dworem swoim; nigdzie miejsca nie zagrzała: w Ziembicy za-

mek w ruinie; w Opolu bez dachu; w Krapkowicach, Frankszynie, Raciborzu, Rybniku deszcz do komnat książęcych przeciekał....

Cesarz Ferdynand się zaniepokoił. Dochody, pobierane z Górnego Śląska na utrzymanie tak wielkiego dworu, nie wystarczały. A był to istotnie dwór królewski. Był ochmistrz, podczaszy, podskarbi, podstoli; było dwóch radców przybocznych, był namiestnik, któremu rządy państwa powierzyła i damy dworu i frejliny i liczny francymer podrzędny.

W roku 1554 Izabella z całym dworem opuściła Śląsk Górny. Spotykamy ją w Wieluniu, w Piotrkowie, w Warszawie i na Litwie, skąd wysyła Baltazarowi Promnicowi, biskupowi Wrocławskiemu, wiele dziczyzny, dla zjednania go sobie, ażeby tenże biskup, jako pan wielu włości w ziemi Pszczyńskiej, nie przeszkadzał szerzącemu się tamże luteranizmowi, który popierała i zwolenniczką jego się stała [1]).

W roku 1555 królowa Izabella powraca na Śląsk, a dla braku funduszów na utrzymanie tak licznego dworu, rozpoczyna wyrąb lasów skarbowych, a nadto, jako stronniczka luteranizmu, pragnie zagarnąć na zamek Raciborski wszystkie złote i srebrne klejnoty z kościołów i klasztorów górno-śląskich.

Cesarz Ferdynand Izabellę osobiście upomina, że nie dotrzymuje umówionych warunków: zamiast bronić religii katolickiej — ona wrogo przeciw niej występuje. Następnie już przestrzega, a w końcu na liczne zażalenia i skargi ludu górno-śląskiego, król zwołuje sejm do Opola w końcu listopada 1556 roku, na którym odczytano Najwyżej zatwierdzony rozkaz królewski: „Odbierzcie królowej Izabelli księstwa Raciborsko-Opolskie i wybierzcie z pomiędzy siebie męża szlachetnego, uczciwego i zacnego!... odbierzcie od niego przysięgę na wierność krajowi!... złóżcie w jego ręce rządy obu księstw, a ja go namiestnikiem waszym zamianuję!...“.

I na tymże sejmie Opolskim stany górno-śląskie jednogłośnie namiestnikiem obrały barona Jana Opersdorfa, dziedzica Dębia i Frydsztynu, pana Królewszczyzn Zastawnych Głogowiecko-Kozielskich, które król w nagrodę Janowi Opersdorfowi, za zasługi, jakie na wojnie z Turkami położył, po wieczne czasy w zastaw oddał.

I stało się to, co było do przewidzenia. Królowa Izabella musiała opuścić Śląsk Górny, przeniosła się do Węgier, gdzie doznawszy wiele przeciwności od cesarza Ferdynanda, musiała je w końcu opu-

---

[1]) Baltazar Promnic, 30-ty biskup Wrocławski był upoważniony do zatamowania szerzącej się religii luterańskiej w jego włościach, czego jednakże nie uczynił. *(Schematismus des Bisthums Breslau)*.

ścić i przenieść się do Polski, do brata Zygmunta-Augusta, u którego gościnność i opiekę znalazła. Zmarła w roku 1563, mając zaledwie lat 46.

Księstwo Karnowskie pozostało już nadal w rękach Brandenburgczyków, którem zarządzali namiestnicy, aż do pełnoletności małego Jerzego-Fryderyka.

Księstwo Ziembickie cesarz Ferdynand oddał Janowi, synowi Karola, księcia Oleśnicko-Ziembickiego. Zaś dziedziczne księstwa Raciborskie i Opolskie po zrzeczeniu się królowej Izabeli, powróciły do Korony Austryackiej.



Głogówek nad Osobłogą.
1. Kościół po-Franciszkański. — 2. Była kolegiata, dziś kościół farny. — 3. Wieża ciśnień. — 4. Ratusz. — 5. Kościołek cmentarny.

Po ustąpieniu Izabeli z ziemi Raciborsko-Opolskiej 1557 roku i po objęciu nad niemi namiestnictwa przez Jana Opersdorfa, stosunki religijno-katolickie zaczęły się zwolna poprawiać. Stany śląskie, na czele z wyżej wymienionemi mężami, mocno dzierżyły w swych dłoniach ster sprawiedliwości. Stany przywracały porządki, stany tworzyły prawa, a nowoobrany namiestnik, jako pośrednik między stanami a królem, stał się wzorowym przewodnikiem i prawdziwym ojcem narodu.

Następnie utworzono kolegium we Wrocławiu, nazwane Śląską, lub też Wrocławską kamerą, z siedzibą na zamku Wrocławskim, którą

cesarz Ferdynand reskryptem z dnia 21 listopada 1558 roku w czyn wprowadził. Pod zarządem tejże Kamery stali wszyscy namiestnicy, czyli starostowie obumarłych przez Piastów ziem dziedzicznych Śląskich, których liczba w roku 1558 ośm wynosiła, a mianowicie: Wrocławska, Świdnicka, Jaworznicka, Głogowska, Opolska, Raciborska, Opawska i Żegańska.

Nowoutworzona przez cesarza Ferdynanda władza śląska składała się: z prezydenta kameralnego, czterech radców kameralnych, jednego radcy fiskalnego do spraw lenniczych, a oprócz tychże było jeszcze dwóch sekretarzów, kasyer, kanceliści i wielu poborców. Prezydent kameralny, zwany także starostą, przewodniczył na sejmach książęco-śląskich, do których w zakres administracyjny wchodziły wszelkie sprawy policyjno-krajowe, skarbowe, wojskowe i clowe. Starosta, jako pierwsza w kraju persona, winien był dbać o dobro ludu, o spokój wewnętrzny, a w razie potrzeby i o obronę krajową.

Prawo pańszczyzniane. — Prawo krajowe. — Skład sędziów i sądy ziemiańskie.

Cesarz Ferdynand, oprócz przeróżnych dręczących trosk i trawiącego niepokoju, który mu spokój zamącał, dla górnego Śląska był zawsze przychylnym, troskliwym i o dobro jego dbałym.

Wydane pod dniem 4-ym stycznia 1559 roku prawo pańszczyzniane dla kmiotków, zagrodników i chałupników, otoczyły lud górnośląski prawdziwą opieką. Namiestnik Opersdorf jeździł od miasta do miasta i publikował je w imieniu króla wszystkim, każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należało, jak następuje:

I. *Kmiecie* winni corocznie:

a) Na włóce zorać ziemi na dwu-korcowy posiew, zeżniwować i do stodół dostawić;

b) jeden dzień gnój wozić;

c) jeden dzień trawę kosić i zwieźć;

d) jeden dzień pleść płoty;

e) jedną furę zatrudnić na przestrzeni dwóch mil;

f) w razie budowy: cztery fury drzewa i trzy fury materyału budowlanego dostawić.

Żony kmiotków na włóce winne pracować dwa dni przy obróbce lnu, konopi, lub pracować w ogrodzie. Oprócz tego: owce myć i strzyc,

za co otrzymają wolny wikt i napitek. Za każdy motek przędziwa otrzymają chleb i dwa grosze.

II. *Zagrodnicy i chałupnicy* za całodzienny wikt obowiązani są ustawiać i reparować płoty.

Poddani mają zarybiać stawy; ryby wkładać w winciory, za co otrzymają codziennie porcyę ryb. Oprócz tego mają także stróżować i przy łowach naganiać.

Oprócz powyższych praw pańszczyźnianych, sejm ziemiański w Opolu, składający się z prałatów, panów i rycerzy księstw dziedzicznych Raciborsko-Opolskich, oraz i ziemi Głogowkowskiej ułożył w roku 1561 nowe prawo krajowe, składające się z 54 artykułów, które cesarz Ferdynand I, jako główny książę ziem górno-śląskich, zatwierdził.



Stary ratusz w Głogówku, na środku rynku.

Z tych, jako wielce interesujące, wyszczególniemy prawo tyczące się sporów granicznych. W tych wypadkach obie strony powaśnione zjechały na miejsce, o które spór toczono. Zjechał też i sąd, składający się z 18-u sędziów, w skład którego wchodzili: starosta czyli namiestnik, jako prezydujący, sędzia ziemiański, kanclerz i 15-tu ławników. Każdy z nich miał własną świtę. Starosta, sędzia i kanclerz po cztery osoby, ławnicy po trzy osoby. Cały zaś orszak sądowy, przybywający na miejsce sporne, składał się ogółem z osób 72. Od wszystkich interesowanych, nie wyłączając świadków, odbierano podług prastarych obyczajów przysięgę na miedzy, a tę modyfikowano stosownie do stanów cywilnych, to jest szlachty, mieszczan i kmiotków.

Rycerze składali przysięgę stojąco, bez broni, z odkrytemi głowami i podniesionemi palcami.

Mieszczanie klęcząco, z gołemi głowami, również z podniesionemi palcami.

Kmiotkom zaś wykopano grób głębokości jednego łokcia. Odebrano im noże i wszelkiego rodzaju naczynia obronne, jakie przy sobie nosili, rozebrano ich do koszuli, na głowę każdemu włożono kawał darniny i w tenże sposób do ceremonii przygotowani, kmiotkowie klęcząc, składali przysięgę sądowi.

Sprawy sądowe odbywały się po kolei, podług registratury. Wszystkich uczestników, tak jednej, jak i drugiej strony, wpierw rewidowano, wszelaką broń odbierano, a następnie na salę sądową wpuszczano.

Każda sprawa sądowa, jeżeli ją na pierwszem lub drugiem posiedzeniu nie rozstrzygnięto, na trzeciem załatwiona być musiała.

Wszystkie podania i sprawy sądowe wnoszono do sądu w języku krajowym, czyli polskim; tam, specyalny wydział tłómaczył je na język czeski. Każdy zaś mieszkaniec praw swoich dochodził w rodowitym swoim języku.

XV.

Odbudowanie Głogówka. — Herb zamkowy z Matką Boską, jako zabytek przeszłości. — Rezydencya ordynacyi Głogówkowskiej. — Mansfeld i Wallenstein.

W pierwszej połowie XVI-go wieku rodzinę Opersdorfów znajdujemy już rozgałęzioną. Na kartach historyi Śląska spotykamy trzech: Jana, Jerzego i Wilhelma. Wszyscy, jako synowie starosty Brzegsko-Oławskiego, kształcili się we Franksztynie, w Zarządzie księstwa Ziembickiego. W czasie wojny węgiersko-tureckiej, zaciągnęli się do wojska przeciw Turkom i tam za niepożyte zasługi, jakie w tej krwawej wojnie położyli, cesarz Ferdynand w nagrodę, pod dniem 21-ym czerwca 1554 r. wyniósł ich do godności baronów z przydomkiem „na Dębiu i Frydsztynie“.

Jak już wyżej wzmiankowaliśmy, najstarszy, Jan, otrzymał od cesarza Ferdynanda w nagrodę Głogówek [1]) i Koźle w zastaw, po

[1]) Należy odróżnić: Głogówek (Ober-Glogau), nad Osobłogą. Głogów (Gross-Glogau) nad Odrą; Głogowiec (Glöglichen), wieś pod Głogówkiem.

wszystkie czasy. Były to ziemie zupełnie spustoszone; kościoły, klasztory, zamki i wszelkie gmachy państwowe od czasów husyckich leżały w gruzach; lud biedny, bez nauki, bez wyznania, bez pociechy duchowej, a mieszczanie nie mający oparcia i opieki, rozproszyli się po innych miejscowościach ziem górno-śląskich.



Mury forteczne Głogówka. Brama wjazdowa od strony północnej.

Jan Opersdorf, jako nowo-wybrany, pierwszy namiestnik księstw Raciborsko-Opolskich i pan ziem zastawnych Głogowkowsko-Kozielskich, stanął na wysokości swego zadania. Odbudował miasto, ufortyfikowawszy je mocnym, wysokim murem, którego szczątki dziś jeszcze podziwiać można (patrz rycinę).

Z gruzów podniósł starą, przez Husytów zburzoną kolegiatę, którą Henryk, książę Niemodliński w roku 1379 założył. Jest to jedna z najwspanialszych świątyń Górnego Śląska. Stoi na szczycie góry, u której podnoża wznoszą się starodawne domki mieszczańskie [1]). Ar-

[1]) Do kolegiaty Głogówkowskiej należały cztery wikarjaty. Prałatury i kanonikaty obsadzał Namiestnik krajowy.

chitektoniczne wnętrze wskazuje nam, że ją budował jeden z najbogatszych owoczesnych magnatów, za złoto, zdobyte na wojnie tureckiej. Na ścianach obrazów nie spostrzegamy, ale widzimy tam freskiem malowane w obrazach przeróżne sceny z wojny tureckiej, np. spotkanie się Opersdorfa z Sulimanem II, układy ugodowe między wojującemi stronami, którym przewodniczy Opersdorf i wiele innych, wielce ciekawych scen historycznych...

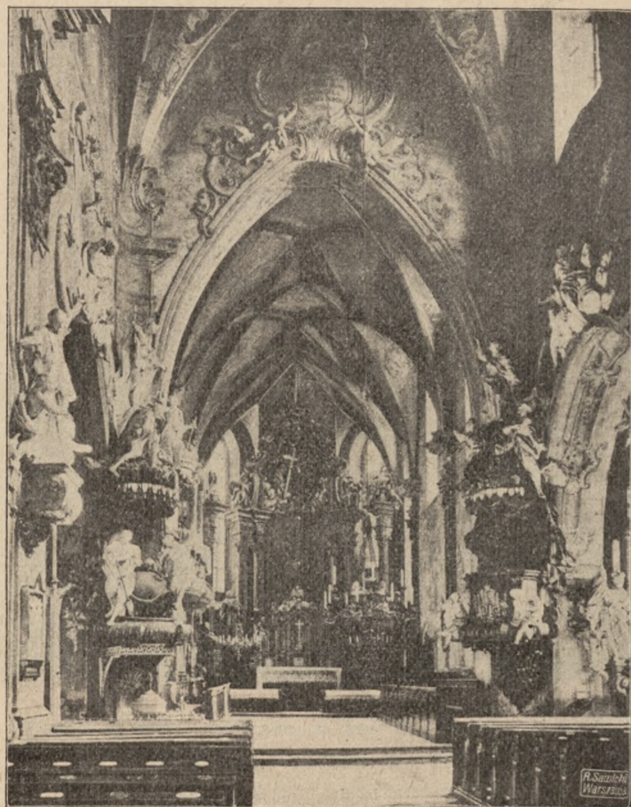


Kolegiata w Głogówku pod wezwaniem ś-go Bartłomieja.
Założona w roku 1379 przez Henryka, księcia Ziembickiego, w roku 1428 przez Husytów spalona, na nowo odbudowana przez Jana Opersdorfa około roku 1557;— zniesiona królewskim edyktem d. 30 pazdziernika 1810 r. wraz z klasztorami śląskiemi.

Sprowadzał mieszczan-rzemieślników, zakładał cechy i domki im pobudował. Zakładał ogrody, parki, folwarki, a rolnictwo i ogrodnictwo do kwitnącego stanu doprowadził. Na gruzach starego zamczyska wzniósł okazały zamek, w którym rezydował do † 3-go lipca 1584 roku.

Na szczególną uwagę zasługuje główna zamkowa brama wjazdowa od strony wschodniej, zamknięta od niepamiętnych czasów dla mieszkańców zamku i dla publiczności miejskiej. Jest to prawdziwe

arcydzieło sztuki, wykonane z ciosowego kamienia. Na dwóch filarach kamiennych wznosi się ponad bramą wielkich rozmiarów część herbu miasta Głogowa, stolicy ziemi Głogowskiej, przedstawiająca: w niebieskiem polu stojącą na księżycu Matkę Boską, trzymającą na lewem ręku dziecinę Bożą, a w prawem berło świata.

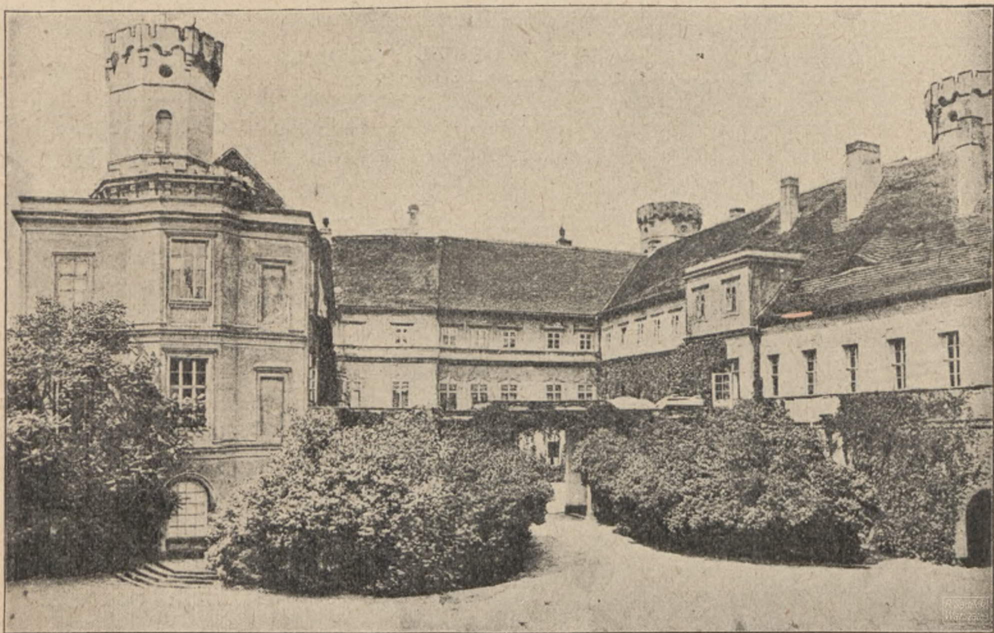


Wnętrze b. kolegiaty Głogówkowskiej.

Jest to zabytek przeszłości, świadczący o głębokiej czci, jaką żywili Opersdorfowie w górnośląskiej ziemi, ku Matce Najświętszej w tej wiekopomnej walce z luteranizmem, w której czynny udział brali w ciągu szeregu lat dziesiątek.

Czego Jan Opersdorf nie wykonał za życia, dokonywali jego następcy.

Po śmierci Jana, Głogówek i Koźle nabył brat jego Jerzy, namiestnik ziem Raciborsko-Opolskich (od 27 sierpnia 1591 do † 15-go grudnia 1606), a nabywszy z polecenia cesarza Rudolfa II-go od komuny miasta, Gliwice ze wszystkiemi królewszczyznami, znajdującemi się w tejże ziemi Gliwickiej, przyłączył je do składu ziemi Kozielsko-



Rezydencja Ordynacyi Głogówkowskiej hrabiego Opersdorfa.

Widok środkowy z boczną bramą północną. Frontu zamkowego z uszkodzoną główną bramą, od strony wschodniej nie widać. Nie widać też okazałej kaplicy zamkowej pod wezwauiem ś-go Jana Babtysty, założonej przez Jana Opersdorfa, przylegającej do gmachu frontowego od strony wewnętrznej.

Głogowkowskiej. W ten sposób Jerzy Opersdorf na Głogówku, stał się panem zastawniczym największego obszaru ziemi na Górnym Śląsku, złożonej aż z trzech przylegających do siebie powiatów, oprócz wielu majątków i wsi położonych w innych powiatach górnośląskich.

Jerzy uregulował prawa dziedziczności, a syn jego, także Jerzy, zrodzony z Izoldy, córki hrabiego Wallensteina z Hermanic (w Czechach), dnia 4 lipca 1588 roku, zmarł 1651 r., piastował również wysokie godności. Jako ulubieniec cesarza Ferdynanda II-go, mianowany został pod dniem 21 października 1626 r. namiestnikiem księstwa Gło-

gowskiego, a pod dniem 6 maja 1633 roku starostą Górnych Łużyc. Cesarz Ferdynand II-gi uznawszy jego zasługi, jakie położył około dobra ziemi Głogowskiej, zezwolił na utworzenie dziedzicznego majoratu Głogowkowskiego, przyczem obdarowawszy go pod dniem 22-m czerwca 1626 roku godnością hrabiego...

W tymże samym roku, w czasie Trzydziestoletniej wojny, kiedy wojska Mansfeldowskie pobite zostały przez Wallensteina pod Dessau, w dniu 25 kwietnia, a ścigane przez niego, cofały się przez Górny Śląsk do Węgier, aby się połączyć z Betlen Gaborem, kiedy Mansfeld (Ernest), ten najgroźniejszy wróg Austryi i Kościoła katolickiego stanął w ziemiach dziedzicznych górnośląskich, należących do Austryi, kazał je złupić, zniszczyć i spalić, przedewszystkiem Głogówek, Koźle i Gliwice, jako ziemie, należące do Jerzego Opersdorfa, siostrzeńca sławnego Wallensteina (Waldszteina), który na głowę poraził Mansfelda i jego wojska pod Dessau.

Mansfeld użył wszystkich sił, ażeby zdobyć Głogówek i uwięzić tamże na zamku zamieszkałą wdowę Izoldę, lecz to mu się nie udało. Załoga forteczna dzielnie broniła swego miasta. Mansfeld Głogówka nie zdobył; tylko kula armatnia uszkodziła główną zamkową bramę wjazdową. Pęknął kamienny lewy olbrzymi kloc-filar, kula wyżłobiła dziurę, lecz herb kamienny z Matką Boską, promieniejący ponad bramą, pozostał po dzień dzisiejszy nienaruszony. Popękany filar wytrzymał przez wszystkie czasy, aż do początku bieżącego stulecia; przed niedawnym dopiero czasem zastąpiono go nowym, ale brama wjazdowa, odgrodzona wiekowym murem, tak dawniej, jako też dziś, pozostała dla wszelakiej publiczności zamkniętą.

Dzisiejszy agnat Opersdorf, rezydujący na Głogówku, ożeniony z Radziwiłłówną, wywodzi się z linii Jerzego — i doprawdy podziwiać należy, że tenże majorat, jako dawniejsza królewszczyzna, znajduje się od wieków w jednej i tej samej rodzinie, co się istotnie bardzo rzadko przytrafia.

(d. c. n.)



OPIEKA BOŻA.

(Opowieść z przeszłości).

W połowie XIV wieku żyli w Siennie we Włoszech brat i siostra, sieroty, potomkowie starożytnego rodu Manfredi. Chociaż nie majętni, ale swobodni i kochający się wzajemnie, byli bardzo szczęśliwi. Posiadali oni mały domek, otoczony winnicą i szpalerem figowych drzew, nadto Karlo miał dzielny oręż i czekał tylko hasła do boju, aby męstwem i walecznością przywrócić dawną świetność swemu imieniowi. Andżolina niczego nie pragnęła. Cicha, skromna, pobożna, we czci Maryi czerpała niebiańskie pociechy, czule kochała brata i od niego była kochaną, żyli oboje spokojnie i wesoło. Ale niema tak pogodnego nieba, któreby nie miało gromów i burzy, ani gniazdka tak ukrytego w zieleni, żeby go jastrząb nie zoczył, ani tak spokojnego przechodnia, żeby go złość ludzka nie dosięgła. To też pomimo ich ukrytego i niewinnego życia, brat i siostra mieli nieprzyjaciela, i na nieszczęście nieprzyjaciel ten był najwyższym urzędnikiem rzeczypospolitej Seneńskiej. Był on sąsiadem dwojga sierot i wspaniały pałac jego wznosił się groźnie nad małym domkiem Karola i Andżioliny; obszerne jego ogrody rzucały cień swój na ich winnice i dumny ich dziedzic, poglądając z wysokich ganków swego pałacu, zapragnął tego kawałka ziemi, jedynej posiadłości młodych sierot. Tak niegdyś złośliwy Achab pożądał pola Nabotha. Urzędnik, którego historya nie wyraża nazwiska, uniesiony chciwością, proponuje młodzieńcowi sprzedaż domku za tysiąc dukatów.

Karlo wręcz odpowiada słowami Pisma:

— Niech mnie Bóg broni, bym miał sprzedać dziedzictwo ojców moich...

W rzeczy samej, nie szło mu o kilka morgów gruntu, o winnicę, o kilka ścian gotyckich, ale o dziedzictwo po przodkach, o domową zagrodę, gdzie rodzice żyli i umarli. Był to posag Andżoliny. Karlo zatem stanowczo odmówił, i od tego czasu wielki magnat szuka sposobu do zemsty. Widok tego zakątka ziemi, którego złotem swem nie

mógł zdobyć, coraz bardziej zajątrzał gniew jego. Nareszcie, korzystając z zamieszek politycznych, jakiemi wówczas rzeczpospolita szarpaną była, zgromadził na głowę niewinnego młodzieńca wiele ciężkich zarzutów i wtrącił go do więzienia. Sprawa ta żwawo się toczyła, sędziowie pomimo swej prawości zawikłali się w labiryncie niesprawiedliwych dowodów, nienawistną nagromadzonych ręką i wydali wyrok. Karlo został skazanym na śmierć, albo na wykupienie życia opłatą tysiąca dukatów. Młodzieniec z właściwą sobie energią gotował się na śmierć, nie chcąc żadnym sposobem pozbawiać siostry ubogiej posiadłości.

Napróżno Andżolina, przyszedłszy do więzienia, upadła do nóg jego, błagając, by sprzedał domek sąsiadowi i wykupił swe życie.

Karlo odmówił.

— Raczej śmierć, niżeli być przyczyną twej nędzy! — odpowie jej.

Dzieweczka płakała u stóp jego, mówiąc z boleścią:

— Bracie mój kochany! Tyś mi lepszy nad wszystkie skarby. Czy mniemasz, że ta posiadłość, krwią twoją oblana, może być miłą dla mnie? O, mój Karlo! Daj mi twe życie, to jedyny dar, którego pragnę od ciebie!

Młodzieniec smutno potrząsając głową, rzecze do niej:

— Jestem twym opiekunem; nikt nie powie, żem ratując się od śmierci, obdarł cię ze wszystkiego. Nie płacz, droga Andżolino, chętnie oddaję nieprzyjacielowi ciało moje; to, co cię kocha, we mnie nie umrze, dusze nasze, połączone w Niebie, wiecznie żyć będą na łonie Boga. Nie nalegaj więcej, znam powinność moją... Żegnam cię, i Bogu cię oddaję! Niech Pan Jezus i Najświętsza Matka Jego błogosławią cię zawsze!!

Andżolina w ciężkiej boleści, widząc, że nic nie zmieni postanowienia brata, całą swą ufność w Bogu złożyła. Wychodzi z więzienia ze starą krewną, Justyną Manfredi, która ją tam zaprowadziła, bierze wszystkie, jakie miała w domu pieniądze, śpieszy do kościoła OO. Dominikanów, składa w ich ręce tę ofiarę, prosząc, żeby zaraz odprawili co najwięcej Mszy św. na cześć Matki Boskiej i za dusze zmarłych, sama zostaje w kościele, modląc się ze łzami przed ołtarzem Maryi, błagając zmiłowania Pańskiego.

Południowe słońce żywym blaskiem opromieniało mury świątyni, gdy Andżolina wyszła z kościoła. Wszyscy ustąpili jej z drogi, dając wolne przejście, bo jej nieszczęście wszystkim znane, obudzało dla młodej sieroty rzewne współczucie. Ale szczególnie zwrócił na nią uwagę pewien młodzieniec szlachetnej postawy, który widząc jej łzy, jej boleść, pyta obok stojącego starca:

— Kto jest ta młoda dziewica i czemu tak płacze?

— To Andżolina Manfredi — odpowie nieznajomy — alboż pan nie wiesz, że brat jej niewinnie oskarżony, jutro będzie ścięty, jeżeli nie zapłaci tysiąca dukatów... O, biedna sierota!..

Młodzieniec stał, jak wryty, w głębokiem zadumaniu.

Był to Anzelm Salembini, należący do jednej z najpierwszych rodzin w Umbryi. Zamek jego w górach niedaleko Sienny, wspaniała rezydencya, otoczony wałami i basztami, wyglądał jak pyszny klejnot w żelaznej szkatułce. Dzielny rycerz Anzelm godnym był starożytnego imienia, sławnego w dziejach rzeczypospolitej Seńeńskiej, ale jako głowa zamożnej rodziny, odziedziczył niechęci swych przodków. Była jakaś stara kłótnia między domem Salembini a Manfredi; było rozlanie krwi; wzajemna nienawiść rozdzielała ich od kilku pokoleń. Wszakże, gdy Anzelm ujrzał młodą sierotę przywaloną nieszczęściem, ściśnioną boleścią, wzruszyło się serce jego. Żnikły dawne urazy, i szlachetny młodzieniec, przejęty rzewnem współczuciem, stał się dla nieszczęśliwych narzędziem Opatrzności.

Salembini ukląkł przed obrazem Matki Boskiej, krótko się pomodlił, i otulając się płaszczem, pospieszył do palazzo-publico, do izby rządowej.

Gdy noc nadeszła, Andżolina w dolnej sali swego domu czuwała na modlitwie. Lampa, płonąca przed obrazem Maryi, błyskała bladem migającem światłem, jak ostatnia nadzieja strapionego serca, jak ostatnie tchnienie umierającego... Blada, drżąca, młoda dziewica przesuwała paciorki swego różańca, a jej przytłumione jęki rozlegały się wśród nocnej ciszy.

— O! Matko sierot! Pocieszycielko strapionych! — wołała z boleścią. — Maryo, jedyna nadziejo nasza, ratuj nas w tej potrzebie!

— Przyczyńcie się za nami dusze święte przez Ofiarę Ołtarza z czyśćca wybawione, ześlijcie nam rychłą pomoc!!

Wtem słyszy pukanie, wstaje, otwiera drzwi...

— Siostro, najmilsza siostro moja! — zawoła głos dobrze znajomy, i Andżolina ujrzała się w objęciach brata, drogiego brata, żywego, oswobodzonego.

Zaledwo go poznała, wnetże upada na kolana i wznosi ręce do nieba:

— Dzięki Ci, o Boże! Ojcze sierot! — woła w uniesieniu radości. — Tyś wysłuchał błaganie nasze, Tyś otarł łzy nasze! Miłosierdzie Twe na wieki wysławiać będziemy!!

— Matko Boska, opiekunko naszego miasta! — zawoła Karlo. — Tyś mnie wybawiła od śmierci!

— Bracie kochany! Czyż to być może, toś ty? lecz jakżeś został uwolniony?

— Jakiś nieznajomy zapłacił za mnie pieniądze i jestem wolny.

— Naprawdę, Anioł Pański cię strzeże!

— Nie wątpię, droga Andżolino, że cudowna pomoc Boska zachowała mnie. Ale któż był narzędziem Opatrzności? Komu zawdzięczamy tę łaskę?

— Zapewno ktoś z naszych krewnych. Może Donati di Casa Nuova, ojciec nasz, zachował mu życie na wojnie.

— Może Angelo Raberi, synowiec naszej matki?

— On w Hiszpanii na wojnie z Maurami.

— Romuald Durazzo, bogaty i hojny.

— Wcale nie; on jest posłem przy cesarzu, nie mógł nawet wiedzieć o naszem nieszczęściu.

Tak przejęci wdzięcznością brat i siostra gubili się w domysłach, nie mogąc znaleźć dobroczyńcy swego... a wśród tej rozmowy tysiączne dziękczynnienia wznosiły się do Boga.

Gdy pierwszy blask jutrzenki zarumienił wierzchołki figowych drzew, a dzwon przyległego kościoła zadzwonił na Anioł Pański, poszli na Mszę świętą, posilili się Chlebem Anielskim, śpiewając w sercu hymn wdzięcznej miłości. Karlo pośpieszył potem do ratusza, żeby się dowiedzieć o nieznajomym dobroczyńcy, i w pół godziny wrócił rozpromieniony radością, wołając do siostry, która wybiegła na jego spotkanie:

— Wiem, już wiem, kto mnie wybawił od śmierci! Dziękuj Bogu, Andżolina! Salembini sam wczoraj zapłacił tę ogromną sumę, tysiąc dukatów!

— Tak, to on! O! szlachetne serce! niech go Bóg błogosławi! Jakże słodko kochać tych, którycheśmy nienawidzieć przywykli! Ale pójdźmy! trzeba mu podziękować.

— Ja? — zawołała Andżiolina, — cofając się z przerażeniem. — Wiesz, że Anzelm jest młody, cóżby na to ludzie powiedzieli?

— Nie bój się tego, pójdźmy oboje. Jesteśmy potomkami nieprzyjaznej dlań rodziny, powinniśmy go zapewnić, że miłość zastępuje miejsce nienawiści; że my, dzieci i wnuki nasze, będziemy odtąd jego przyjaciółmi i sługami. Chcesz-że, by nas miał za niewdzięcznych?

Andżiolina nie opierała się dłużej, i osłoniwszy się białym welonem, pośpieszyła w góry za bratem.

Południowe słońce tryskało żarem promieni, gdy przybyli do zwodzonego mostu starożytnego zamku Salembini. Służący zbliżył się dla przyjęcia gości; młodzieniec rzecze do niego:

— Powiedz twemu panu, że Karlo Manfredi z siostrą przybyli podziękować mu za wolność i życie, które im darował.

Służący się ukłonił i wprowadził ich do sali portretowej, gdzie wkrótce przybył Anzelm. Zdawał się być wzruszonym, ale słodycz i uprzejmość zdobiły jego męzkie oblicze. Podał rękę Karolowi, skłonił się z uszanowaniem Andżiolinie.

— Salembini — rzecze Karlo drżącym od wzruszenia głosem — winienem ci życie, siostra moja zawdzięcza tobie życie swego brata. Nie mamy słów dla wyrażenia wdzięczności naszej. Niech zginie na zawsze nienawiść ojców naszych. Zapomnij o niej, zacny Anzelmie, a chciej tylko widzieć w sierotach Manfredi wierne przyjacioły i sługi twoje.

— Tak, przyjacioły! — odpowie Salembini, ściskając dłoń młodzieńca — cieszę się bardzo, że nimi się mianujecie; i jako przyjacioły, spodziewam się, że przyjmiecie gościnność u mnie.

— Jesteśmy na twe rozkazy — odpowie Karlo.

Anzelm wyszedł. Brat i siostra dość długo zostali sami.

Zastawiono im przepyszny obiad; ale gospodarz się nie ukazał.

Noc się zbliżała, góry Umbryjskie zajaśniały ostatnim blaskiem zachodzącego słońca, służący zaświecili woskowe pochodnie, a Karlo i Andżiolina jeszcze samotni z cicha wyrażają swe podziwienie... gdy znagła drzwi się otwierają. Anzelm Salembini w przepysznym stroju wchodzi w licznym orszaku krewnych, przyjaciół, sąsiadów i zbliżając się do Karla, rzecze:

— Zebrałem naprędce to szanowne towarzystwo, aby wszyscy byli świadkami pojednania naszego, świadkami przyjaźni, jaką mnie zaszczycasz. Zebrałem jeszcze tych kochanych krewnych i przyjaciół, żeby obecnością swoją wsparli mnie w prośbie, jaką do ciebie zanoszę.

— Prośbę masz do mnie, Anzelmie?... Cóż to znaczy?

— Tak, Karlo... Zapomniawszy dawnych niechęci, bądźmy przyjaciółmi, bądźmy jeszcze braćmi... Zacna dziewico—rzecze dalej, zwracając się do Andżioliny — cnoty twe i pobożność ściągają błogosławieństwo nieba; chciej być panią tego zamku; chciej być między dwoma nieprzyjaznemi rodzinami zadatkiem wiecznego spokoju! Manfredi, czy się zgadzasz na to?

Karlo, wziąwszy rękę Andżioliny, złożył ją w ręce Anzelma; a wznosząc oczy ku niebu, rzecze z zapałem:

— Oby się tak skończyły wszystkie niesnaski nasze! Oby miłość, pokój, zgoda, jak kwiat nadziei lepszej przyszłości pomiędzy nami zakwitły!

Wielka była radość w tej rodzinie. Wszyscy wielbili Boga, podziwiali niepojęte drogi Opatrzności.

Andżiolina nie zawiodła się, szukając przez Ofiarę Mszy św. ratunku w nieszczęściu, bo za przyczyną Maryi i świętych dusz czyśćcowych, po łzach znalazła spokój, po smutku wesele.



ZŁOTE MYŚLI.

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują Cię tylko umysły poczciwe.
Dla Ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla Ciebie pęta, więzy niezelżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny.
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe,
Byle Cię tylko można wspomódz, wspierać
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

(Ignacy Krasicki).



Mąż od złych losów nie umiera,
A jeśli padnie od boleści,
Śmierć wyprowadzi bohatera
Na złotą drogę świętej cześci.

(Maciej Sarbiewski).



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana naszego Jezusa Chrystusa.

(Ciąg dalszy).

Gdy Jezus opuścił dom przedniejszego Faryzeusza, otoczyły Go zaraz rzesze, które Nań czekały niecierpliwie. Ten lud wciąż okazuje Mesyaszowi przywiązanie, szuka Go, idzie za Nim. Ale nieszczęśliwy to lud, bo zwodzony przez Faryzeuszów, nie umie otrząść się z tego jarzma, a po Mesyaszu spodziewa się odbudowania Królestwa Żydowskiego, w którem dla pogan, dla innych ludów niema miejsca. Niebaczny ten lud, w tej ciasnocie pojęć, zamyka sobie sam „Królestwo". Dlatego teraz Jezus już bez ogródki, bez osłony, w przypowieści wypowiada gorzką prawdę, pokazuje zasadnicze prawo tego „Królestwa", rozwiewa złudne marzenia. Izrael powołany jest przed wszystkiemi innemi narodami do Królestwa Mesyaszowego, ale nie wierzy, więc dla niedowiarstwa swego będzie wyrzucon; poganie zaś, jak tylko uwierzą, nie będą wykluczeni, bo Łaska Boża zarówno jednych i drugich wzywa miłościwie.

Rzesze wielkie idą za Jezusem. Naraz zwraca się do nich Jezus i mówi: „Jeśli kto idzie do Mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, i żony, i dzieci, i braci, i sióstr, jeszcze też i duszy swojej, nie może być uczniem Moim. A kto nie nosi krzyża swego i idzie za Mną, nie może być uczniem Moim".

Słowa te brzmią surowo, przerażająco.

Czas już wielki, już ostatnia godzina, aby jeszcze uratować, co jest szczerego w Izraelu od przekleństwa, od sądu, od odrzucenia. Odkąd Syn człowieczy kroczy do zwycięztwa jedynie drogą krzyża, po zerwaniu wszystkich ziemskich węzłów, ta, nie inna droga, wskazana jest wszystkim, którzy chcą iść za nim, którzy chcą wnijść do Królestwa Jego. Jeżeli więc Izraelita chce być uczniem Jezusowym, chce być zbawion, musi porzucić tych wszystkich, którzy stoją po stronie niedowiarstwa — choćby to byli najbliżsi, choćby to byli rodzice, bracia, siostry i rodzeństwo; nie pozostaje mu nic innego, jak tylko „nienawidzieć“ tych, których miłuje, odłączyć się od nich, oderwać, — odepchnąć ich od siebie, albo być razem z nimi odrzuconym. Ta droga krzyża, ten obowiązek noszenia krzyża domaga się nawet nienawidzenia „samego siebie“, „duszy“ swej, która z natury wzdryga się na widok cierpień i męki, — domaga się zabicia wszystkich pragnień i żądz, aż do utraty życia. Bez krzyża, bez umartwienia, bez zaparcia się samego siebie, nie można być uczniem Chrystusowym, nie można wnijść do Królestwa Mojżeszowego.

Izrael, jako lud wybrany, powołany do wzniosłego zadania, podobny jest do budownika, który dla bezpieczeństwa i obrony zamierza wybudować sobie wieżę potężną i już założył fundament. Gdyby naraz przerwał budowę, niemając funduszu na dalszą robotę, wystawiłby się oczywiście na śmiech sąsiadów, że zawczasu nie obliczył się z zasobami, wziął się nierozważnie do dzieła, które przechodzi jego siły. Jezus tem porównaniem chce powiedzieć słuchaczom, że żaden z nich nie poczynałby sobie w ten sposób, tak nieroztropnie, budując wieżę. Dla czegóż więc poczynają sobie jeszcze mniej rozważnie wobec daleko ważniejszego budowania, bo duchowego. Mocą przymierza, zawartego z Jehową, wszyscy Izraelici i każdy z osobna nosi w sercu swojem fundament do dokonania budowy, królestwa Mesyaszowego. Nie tylko ma obietnicę, że z pośród niego wynijdzie Mesyasz i dla niego założy królestwo Swoje, ale ma w sercu złożone dzieło Łaski, to jest wiarę w Boga Abrahamowego, nadzieję w Mesyasza, posłuszeństwo Zakonowi, co wszystko, zwać się może fundamentem, na którym ostatecznie, jako wspaniałe dokończenie, wznosi się wiara w Mesyasza i udział w królestwie Mesyaszowem. Ale teraz, gdy Mesyasz się zjawil i otwiera Swoje królestwo, to owym wybranym brak nakładów i nie mają za co dokończyć dzieła; bez wiary ojców, bez zaparcia się i bez miłości do krzyża nie zdolni są poznać Mesyasza, iść za nim z weselem do królestwa Jego; wolą raczej zaprzeć się Mesyasza.

„Tak tedy każdy z was, który nie odstępuje wszystkiego co ma,

nie może być Moim uczniem". Bez tego odstąpienia ojca, matki i wszystkiego, cokolwiek stoi na zawadzie, bez zaparcia się, nikt nie wnijdzie do królestwa Mesyaszowego.

„Dobrać jest sól; lecz, jeśli sól zwietrzeje, czem solona będzie? Nie przygodzi się ani do ziemi, ani do gnoju, ale ją precz wyrzucą". Izrael ufa w swe wybranie, w swe prawa, w swe przywileje, lecz zapomina, jakie ma obowiązki wobec świata. Jehowa wybrał sobie ten lud, aby był „solą". W pośród świata, oddanego grzechowi i śmierci, Izrael, jako lud święty, ma ostatecznie wydać ze swego łona Mesyasza, ma podać światu zbawienie, które sam znalazł miłościwie.

Jako sól, ma przejąć i ludy pogańskie, ożywić je, uświęcić.

Ale jeśli ta sól zwietrzeje, gdy utraci swą tęgość, staje się zupełnie do niczego nieprzydatną i będzie poprostu wyrzucona. Tą zwietrzałą solą jest właśnie Izrael, jak to widać z następującej okoliczności. Podczas tego, gdy Jezus w ten sposób rozprawiał z ludem, ściągnął na siebie powszechną uwagę wypadek, który zaszedł tuż w pobliżu. Oto „celnicy i grzesznicy", ile ich tylko było w okolicy, zeszli się razem, „przybliżyli się do Jezusa, aby Go słuchali". Celnicy uchodzili za wyrzutków społeczeństwa, gardzono nimi powszechnie, a Jezus ich nie odpycha, nie odtrąca. Nie mogą tego widoku znieść Faryzeuszowie i Doktorowie zakonni, więc szemrzą głośno: „Iż Ten przyjmuje grzeszniki i jada z nimi"! W oczach Faryzeuszów, to straszny grzech i dlatego szemrzą. Jezus wobec całego ludu odpowiada tym obłudnikom i pokazuje, że oni, jako przewodnicy ludu ku dobremu, nie mają iskierki uczucia litości — a przecież miłosierdzie Boskie takie jest wielkie, bez granic.

Zaczyna Jezus opowiadać przypowieść o zgubionej owcy. Czyby który z nich, mając np. sto owiec, gdyby stracił jedną, pozostał spokojny i nie dbał o tę straconą? Z pewnością nie, — zostawiłby dziewięćdziesiąt dziewięć, a szedłby za oną, co zginęła, szukałby jej tak długo, ażby ją znalazł. I ucieszyłby się bardzo. Owieczkę tę wziąłby na ramiona, zaniósł do domu, a przytem zwołałby sąsiadów i przyjaciół, aby razem z nim się cieszyli z odzyskanej zguby. Tak czyni dobry człowiek z zabłąkaną owcą: „powiadam wam, żeć tak będzie radość w niebie nad jednym grzesznikiem, pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesiąt i dziewięcią sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty".

Jeszcze mniejszą wartość, niż owca, ma „drachma", pieniążek najdrobniejszy.

Jezus powiada: „Gdzież jest niewiasta, którąby była obojętną, utraciwszy drachmę jedną? Niema takiej chyba, którąby nie szukała

tej drachmy. Owszem ona szuka pilnie, jakby od tego zależało jej szczęście, a znalazłszy ją, podobnie jak on, który znalazł owieczkę, zwołuje przyjaciółki i sąsiadki, żeby się razem z nią radowały.

Ta radość jej, choć zguba była niewielka, znamionuje dobroć serca i zarazem akuratność w sprawach życiowych. „Tak powiadam wam, radość będzie przed Anioły Bożymi nad jednym grzesznikiem, pokutę czyniącym". To jest prawdziwie Boże zmiłowanie, — płynie ono z czystej miłości, gotowe każdego czasu litować się nad nieszczęśliwym człowiekiem, byle była ku temu najmniejsza pobudka.

(d. c. n.)



Wiadomości pożyteczne.

Reklama amerykańska.

Ostatniem słowem amerykańskiej reklamy jest automat elekryczny, wyobrażający prezydenta Stanów Zjednoczonych. Automat zrobiony jest ze specjalnej masy i w zupełności wyobraża portret obecnego prezydenta. Automat ten przechadza się po ulicach miasta, gestykuluje rękami i nogami, porusza oczami. W głębi automatu znajduje się fonograf, wygłaszający od czasu do czasu reklamy.

Środek przeciw ukąszeniom os i pszczół.

Garść wapna gaszonego rzuca się w butelkę, do której następnie leje się wodę, poczem butelkę porusza się kilkakrotnie. Gdy woda już się dobrze ustoi, wówczas, o ile zajdzie tego potrzeba, nalewa się ją ostrożnie na gałganek, tak jednak, by nie zamącić płynu. Gałganek ten przykłada się na miejsce ukąszenia.

Co należy czynić, gdy człowiek połknie twardy przedmiot.

Niektórzy lekarze radzą, aby w tym wypadku jeść bardzo dużo kartofli, kartofle mają własność rozciągania kiszek, a przytem osnuwają warstwą połknięty przedmiot, dzięki czemu wychodzi on, nie przyczyniając nam szkody.

KLASZTOR.

(Opowiadanie z naszej przeszłości).

(Ciąg 7-my).

Kalas, widząc, że go już nie potrafi z tego rozpaczliwego szyderstwa wywieść, nie zważał na niego. Zajął się przyniesionem jadłem, napił wódki i jął zimne mięso, dobyte z woza, pożywać.

— Chcesz jeść ze mną? — zapytał.

— Nie chcę — odparł leżący — aby mi jutro mój chleb z wodą wydał się obrzydliwszym. Wielka łaska!

— Gdybyś nie tak szalonym był, jak jesteś — począł Kalas — powiedziałbym ci: siądź jutro na mój wóz i jedź do mnie. Chleba ci nie pożałuję.

— Abyś się czwanił, żeś tego łotra od głodnej śmierci na puszczy ratował — zawołał Bużeński. — Daj mi pokój, nie proszę o nic i nie chcę niczego, oprócz tego jednego, żebyś zapomniał, żeś mnie widział i był tu... Zdechnę prędko, a wilcy się z kośćmi uwiną i to najlepszy pogrzeb; długo gnić nie trzeba.

Kalas ramionami ruszał, coraz więcej zniecierpliwiony.

— No, ty gadaj, co robisz na świecie? — odezwał się trochę ciszej Bużeński. — Łżesz, jak drudzy i drogę sobie tem torujesz?

— Siedzę na wsi, hreczkę sieję i nie potrzebuję nikomu kłamać, bo, dzięki Bogu, od nikogo nic nie potrzebuję.

— Ożeniłeś się, co? zwodzi cię żona, czy ty kogo bałamucisz? Bo to inaczej być nie może — rzekł Bużeński.

— Ano inaczej jest — oparł się Kalas. — Swojej nie mam, a cudzych nie bałamucę.

— Święty człowiek! — roześmiał się gospodarz. — W dziurze siąść, łapę ssać... i to ma być życie!

Nie chcąc wywoływać nowych podobnych szyderstw, Kalas milczał. Położyć się spać nie było gdzie, siedział więc w kącie, kiedy niekiedy ognia podkładając, a prosząc Boga, aby dzień nadszedł prędzej. Lecz długie są te zimowe noce.

Dla obu była to męczarnia, bo Bużeński, zamiast pociechy, jakąby miał z dawnego towarzysza, złościł się na niego, że go wyszukał, widział i był świadkiem nędzy, w jaką popadł. Kalas, nie mogąc go poratować, bolał, lecz wszelkie usiłowanie przemówienia do niego rozbijało się o gorycz tę i żółć, jaką Bużeński miał w duszy.

Po dłuższem milczeniu, Zerwikaptur, chcąc przekonać przyjaciela, że i w tej podróży nie zapomniał o nim, począł mu opowiadać, jak śladów jego szukał po Warszawie. Przypomnienie jej gniew tylko wywołało z piersi zdziczałego człowieka.

— No! widzisz — krzyknął ze złością. — Pan Bóg twe dobre serce wynagrodził i masz przyjemność oglądać Łazarza na barłogu. A juściż przyjemność, bo to słodka rzecz myśleć sobie: ot, gnije ta paskudna bestya, a jam zdrów i cały!

Obruszył się Kalas na to.

— Nie udawaj lepszego, niż jesteś — przerwał grubiańsko Bużeński. — Dość, żeś człowiek, byś podłym musiał być!

— Niema więc już na świecie dobrego człowieka?—odparł Kalas.

— A niema! — zawołał Bużeński. — Psy są dobre czasami, a ludzi niema poczciwych. Na to rozum mają, aby szelmami ich robił.

Widząc, że do niczego rozmowa taka nie doprowadzi, umilkł Kalas. Poszedł do okienka, wielkiego, jak dwie dłonie, w którem kawałek szkła wprawiony był, i wyjrzał, czy się nareszcie świt nie robi.

Na podwórzu śnieg biały i zamieć tylko widać było. Podłożył ognia. Dotrwali tak aż do chwili, gdy sługa Kalasa drzemiącemu już panu przyszedł oznajmić, że na dworze dniało.

Zadymka nieco się zmniejszyła. Bużeński na barłogu swym chrapał w śnie jakimś gorączkowym. Poruszenie się Kalasa zbudziło go. Wstał i on, nic nie mówiąc. Poszedł do konia swego do szopki, wrócił prędko i odezwał się zimno:

— Konie każ okiełznać i w drogę! Doprowadzę juściż do gościńca... Miło mi uczynić przysługę tę, bo wiem, że dłużej żyjąc, będziesz ją przeklinał. Życie doje ci, jak mnie! Każdy musi się męczyć, a ty, coś się dotąd z prawa tego wyłamywał, pójdziesz pod nie, jak i ja! W drogę! —krzyknął, wychodząc.

Wszystko gotowem było. Bużeński siadł na lichą szkapę swoją; wóz ruszył z ciężkością z miejsca.

Godzin parę wlekli się tak, aż do skraju lasu.

Dobiwszy się tu, Bużeński stanął i ręką wskazał na prawo.

— Trzymać się ponad lasem aż do karczmy, dalej gościniec pokaże.

I nie spojrzawszy nawet na Kalasa, zawrócił konia w gąszcze.

XII.

Na święty Antoni odpust był w kościele o. o. Bernardynów, na który corocznie tysiące ludu się zgromadzało. Ożywiało się naówczas i miasteczko, bo z uroczystością kościelną łączył się jarmark; a ściągali nań i rozwożący towary kupcy ruscy, i izraelici z większych miast i wiejscy rzemieślnicy.

Na wiosenny ten jarmark nie przywożono wprawdzie kożuchów, nie rozprzedawano wiele bydła, ledwie odżywionego po zimie — ale budy z łokciowym towarem, garnki i wszelki sprzęt gospodarski się znalazł. Na kilka mil wokoło, św. Antoni gromadził tu pobożnych i ciekawych. Drobnej szlachty, oficyalistów, a nawet pańskich bryczek, wózków i kałamaszek przybywało tyle, iż ich gościnne domy pomieścić nie mogły. Ci też, których nabożeństwo tylko tu sprowadzało, obozem się rozkładali pod murem klasztornym. Konie posilały się z torebek, które im zarzucano na głowę, a woźnice stali u bramy, gwarząc, o ile im do niej zbliżyć się dozwalał cały zastęp żebraków, obsiadujący i wielkie wrota, i część murów i całą drogę do kościoła prowadzącą.

Dziadów i bab natłok był tu nadzwyczajny, a śpiewy ich, pisk, wołanie, kłótnie, niekiedy dźwięk dzwonów głuszyły.

Oprócz nich pod samą bramą dwa kramiki, w których sprzedawano obrazki, medaliki, krzyżyki i świeczki — zatrzymywały po drodze różnych pielgrzymów.

Niemniej życia dnia tego było i w samym kościele i klasztorze. Duchowieństwa świeckiego przybywało wiele, gości z sąsiedztwa, dobrych przyjaciół o. o. Bernardynów, mnóstwo także. Gwardyan musiał swych benefaktorów przyjmować wedle możności zakonu, żyjącego z jałmużny.

Pomimo, iż niemało kłopotu dnia tego mieli wszyscy, a poprzedzające i następne dni od niego wolne nie były, wszystkie twarze się tu dnia uroczystego uśmiechały, począwszy od najmłodszego braciszka, który najwięcej miał do czynienia, aż do ks. prowincyonała, zwykle także odpustowi asystującego.

Już w wigilię musiano myśleć o przystrojeniu ołtarza, o przybraniu kościoła, o wszystkiem, co na ten dzień potrzeba było mieć w zakrystyi, na chórze, w kościele. Światło, wino, ampułki, bielizna, lampy, kadzielnice, kobierce do wysłania stopni ołtarzy—dobywały się z szafy, z szuflad i opatrywały starannie.

Na ten dzień zwykle też dobywano kosztowną monstrancyę koralową, dar fundatora, wspaniały pacyfikał, wielki krzyż srebrny i ka-

dzielnicę, którą chłopak ledwie mógł udźwignąć. Wszystkie wspaniałości musiały się oczom pobożnych ukazać dnia tego.

Lecz i o. prowincyał, i o. gwardyan i konwent cały mogli się pochwalić, że nigdzie piękniej, wspanialej, pobożniej nie obchodzono dnia wielkiego świętego padewskiego, niż tutaj.

Najbardziej przyczyniła się do tego i wiosna, już cała w kwieciu, a ciepła i promienna. U nas czerwiec zastępuje prawie maj, który płacze i drży z zimna.

I teraz dopisał dzień tem piękniejszy, że się nawet, dzięki wietrzykowi, nie obiecywał zbyt gorącym. Zjazd był nadzwyczaj liczny. W miasteczku rynek był, jak nabity. Cała droga do klasztoru roiła się tłumami, a około muru ledwie się można było przecisnąć. I twarzy prawie smutnej wśród tej ciżby nie można się było dopatrzeć.

W kościele, strojnym w kwiaty i światło, przy ołtarzu św. Antoniego, wtajemniczeni ukazywali sobie ozdobę dotąd niewidzianą. Na prawo i na lewo klęczały dwa nowiuteńkie anioły, z główkami podniesionemi do góry ku *il santo*, jakby się wstawiały do niego za pobożnych ludzi, ołtarz tłumnie otaczających.

Wśród przyciemniałych ornamentacyj otaczających obraz, okryty srebrno złocistą szatą, dwie te nowe postacie odbijały nietylko świeżością swoją, ale jakimś wdziękiem naiwnym, którego żadne inne figury dawne nie miały.

Była to widocznie jakaś nowa ofiara, przyniesiona patronowi, zapewne drogo kupiona, sprowadzona zdaleka, bo ludzie się kunsztowi, z jakim wykonaną była, dziwili. Braciszek w komży, który chodził z długim prętem, na końcu mającym przymocowany stoczek, szeptał po cichu ciekawym, dowiadującym się o prowenieneyę aniołów, że one były zrobione tu, na miejscu, w klasztorze. Ale imienia ich twórcy, uśmiechając się, wyjawić nie chciał.

W istocie, były one dziełem ręki ojca Anioła, który, póki rzeźbił je, bardzo się radował swej pracy, a teraz, oglądając ją na ołtarzu, wstydził się i znajdował biedną.

O. Rafał i wszyscy zresztą podziwiali piękną robotę samouczka, który tak umiał proste kloce lipowe, dostarczone przez podkomorzego, przeistoczyć na dwie zaklęte w drzewo modlitwy.

Msze następowały jedne po drugich. Wyszła suma z akolitami, uroczysta, a po Ewangelii o. Serafin ukazał się na ambonie, wymownie opowiadając nietylko o żywocie i cudach świętego, ale o pierwocinach zakonu św. Franciszka i wielkiego ducha założycielu.

Całe nabożeństwo wesoło, pięknie, bez najmniejszego wypadku, jaki się czasem trafia, mimo pilności i dozoru, przeszło aż do końca i do

tych śpiewów, które je zamykają. Żadna świeca nie zgasła, nie zapaliła się żadna firanka, nie zemdlał nikt w ciżbie kościół przepełniającej.

Wszyscy powoli opuszczali świątynię, a honorationes, znajomi, przyjaciele, sąsiedzi, ciągnęli do refektarza na skromny posiłek.

Zdziwiony był o. Rafał, gdy w progu refektarza ujrzał już prawie zapomnianego Kalasa, tego Zerwikaptura, który na myśl mu przywiódł nieszczęśliwego porucznika; tłómaczył on tem swe przybycie na odpust, że towarzyszył swej dalekiej krewnej, której imię było Antonina.

— Chciałem, korzystając z bytności mojej, pokłonić się ojcu gwardyanowi i jeszcze mu raz za gościnność podziękować.

Gwardyan westchnął. Wiedział on, choć niespełna, o losach porucznika i nie śmiał nawet spytać o niego Kalasa, który natychmiast się chciał oddalić; ale nadchodzący podkomorzy go zatrzymał.

Postarzały trochę Bielski pochwycił Zerwikaptura, rad, że od nowego człowieka czegoś się może dowie nowego.

W refektarzu gwar, powitania, rozmowy, ruch panował, jak nigdy. Skromna przekąska prawie zapomnianą była, tak wszyscy, spotykający się tu, mieli z sobą wiele do mówienia. Ojcowie gospodarowali, nie wyjmując nawet o. Serafina i dwu młodszych, świeżo przybyłych księży, o. o. Dydaka i Kolumbana.

O. Anioł, jak mógł, wymykał się od tych, którzy mu jego dwu pięknych klęczących imienników winszowali, rumieniąc się, jak panienka.

Kwestarz Michał podnosił ogórki na żartobliwych, którzy sobie pozwalali zbyt wesołych konceptów. Zapach doskonałego bigosu, fundowanego całą faską przez podkomorzego, rozchodził się po refektarzu, mieszając do innych woni jadalnych mniej wybitnego charakteru, gdy w podwórzu usłyszano gwar, który zwrócił wszystkich uwagę, gdyż zupełnie tonem się różnił od tego, jaki tu panował.

O. Anioł i brat Michał pobiegli coprędzej, domyślając się jakiegoś zajścia, lub nieprzyzwoitej bójki między czeladzią gościnną, a do refektarza z raportem wbiegł braciszek Krescentyn, zmieszany i wprost skierował się ku gwardyanowi.

— Co to tam za wrzawa? — zapytał niespokojny o. Rafał.

— Na rynku w miasteczku powstała jakaś bójka — rzekł żywo braciszek. — Niewiadomo o co poszło, ale jakiegoś nieszczęśliwego tak pobito, że go tu niosą na ratunek, bo w miasteczku obawiano się, aby szlachta jeszcze gorzej go nie mordowała.

Smutną tę odebrawszy wiadomość, która wesołe święto zatruła, pośpieszył gwardyan sam, i gdy ludzie w dziedzińcu rozstępujący się, przepuścili go, spostrzegł na ziemi leżącego, okrwawionego, w nędznej

odzieży, odartego mężczyznę. Twarzy krew jego, którą była okryta, rozpoznać nie dawała.

Pobity, chociaż straszliwie stłuczony, ledwie dyszący, ruszał się jeszcze, jakby mordować chciał nieprzyjaciół. Kto to był, o co poszło, nie wiedział nikt, nie umiał nikt powiedzieć. Ci, co pobili biedaka, pouciekali ze strachu.

Kalas, powracający do swoich kobiet, wyszedł był z refektarza i musiał pomijać leżącego na ziemi, na którego spojrzał; ale w tejże chwili podskoczył ku niemu, pochylił się, aby lepiej przypatrzeć się, i coś gwardyanowi na ucho szeptać zaczął.

O. Rafał zbliżył się także i ręce załamał.

Natychmiast wydał rozkazy, młodych kilku braciszków wzięło ostrożnie na ręce stękającego człowieka i w milczeniu nieść go poczęło do klasztoru. Kalas i o. Rafał szli za nimi.

— Klucz! klucz od celi! — zawołał gwardyan, wskazując tę, w której niegdyś tak długo leżał porucznik.

Widok pobitego mógł w istocie obudzić litość, tak nietylko odzież jego, ale niesłychanie wynędzniała twarz, całe ciało, ze skóry tylko i kości złożone, okropną nędzę opowiadały. Pomimo to, oblicze było dumne i zuchwałe, a teraz gniewem do szału posuniętym wyszpecone straszliwie.

Nowozaciągnięty do klasztoru braciszek Dydak, który tak, jak o. Anioł do dzieł kunsztu, miał powołanie na szpitalnego dozorcę i posądzano go, że musiał może praktykę przy cyruliku odbywać, natychmiast nieproszony wziął się do opatrywania złożonego na łapczanie biedaka.

Znano już w klasztorze jego zręczność i umiejętność, nie zabroniono mu więc zająć się rannym, a o. Rafał niepotrzebnych świadków, oprócz Kalasa, z celi wyprosił i drzwi zamknął.

Pobity z początku bronił się Dydakowi i opatrywanym być nie chciał, lecz wkrótce sił mu zabrakło i leżał już bezwładny.

Potrzeba było z niego zwlec w części ubranie, aby się przekonać, czy mu kości nie połamano. Ciało całe niemal okryte było sińcami, krwawemi plamami i guzami. Nie poszanowano też głowy, ani piersi i można było powiedzieć, że cały był jakby jednem sinem obrzmieniem.

Kalas patrzył milczący z politowaniem. W tym nieszczęśliwym poznał on odrazu Bużeńskiego.

O przyczynie tego zajścia, o sprawcach okropnego pobicia napróżno się czegoś chciano dowiedzieć.

Wójt, który nadszedł z miasteczka za pobitym, opowiadał o. gwardyanowi, że gdy na wrzawę nadbiegł tam, gdzie pijana hałastra

mordowała tego nieznajomego, już go zastał na ziemi leżącym i okrwawionym.

Bądź co bądź, dziwny zbieg okoliczności, jak gdyby ręka Opatrzności, po raz wtóry już do tego klasztoru sprowadzała człowieka, którego pierwszy pobyt był tu jeszcze pamiętnym.

Lecz jakże lata ubiegłe zmieniły nieszczęśliwego rozbitka!

Kalas siedział ze łzami w oczach. Oddalił się na krótko do kobiet, z któremi przybył, aby im wytłómaczyć, dlaczego towarzyszyć im pewnie nie będzie mógł, i wrócił do łoża Bużeńskiego.

Brat Dydak prawie musem napoił go jakąś polewką, obłożył chustami, w winie z rozmarynem zmoczonemi, otulił i siadł pilnować. Osłabły porucznik spał, chorobliwie się rzucając; można się było domyślać, że mu głowę potłuczono, gdyż gorączka i inne symptomaty dowodziły tego.

Miał-li osłabły i wycieńczony wytrzymać to pobicie? można-ż go było ocalić? tego nikt powiedzieć nie umiał. Brat Dydak szeptał, że naturze należy zostawić resztę.

Wypadek ten, który na chwilę wesoły odpust zakłócił, wkrótce innemi wrażeniami został zatarty. Rozpoczęły się uroczyste nieszpory z wystawieniem N. Sakramentu i śpiewy. Kazanie wieczorne powiedział o. Gabryel.

Wkońcu goście się z przed kościoła rozjeżdżać zaczęli; pod murem zostało jeszcze trochę żebractwa, a w miasteczku tylko gwar pijanych przedłużył się do późna.

Piękny, spokojny wieczór późnej wiosny, ze śpiewem słowików i skrzeczeniem żabek, z powiewem wietrzyka wonnym, z gwiaździstem niebem i ciszą swą uroczą rozpostarł się nad miasteczkiem.

Zdala brzmiały piosenki i wykrzyki powracających z jarmarku.

Jak niegdyś, przy dostatnim panu poruczniku, tak teraz przy nędznym ubogim, którego nazwiska nie wyjawiano, ojcowie chodzili z tem poszanowaniem dla niedoli i cierpienia, które jest najpiękniejszą z cnót chrześcijańskich.

Wiedział o. gwardyan od Kalasa, że Bużeńskiego doznane od losu plagi nie nawróciły, że zbuntowany ten, choć obalony niedowiarek, pozostał zawsze sobą. Budziło to tem większą w nim litość.

— Któż wie? palec Boży! — szeptał o. Serafin. — Czekajmy... może duszę ocalimy.

Zerwikaptur pragnął bardzo pozostać przy chorym, lecz okazało się to niepodobieństwem. Kobiety czekały na niego i same jechać nie chciały. Wstąpił tylko późnym wieczorem do o. gwardyana.

— Mój ojcze—rzekł, schylając się przed nim—o jednąbym łaskę

was prosił. O ile możności, wstrzymujcie tego biedaka w klasztorze. Ja, gdy tylko będę mógł, przybiegnę tu, a koszta, jakie za sobą pobyt jego i kuracya pociągnie, powrócę z wielką wdzięcznością.

— Nie bój-że się, nie wygnamy go, nie puścimy! — odparł o. Rafał. — Zrobimy, co można, by go zatrzymać; ale wiecie, jak zuchwały jest i samowolny, a gwałtu popełnić nie możemy. O. Dydak powiada, że w najszczęśliwszym razie, nim wstać i chodzić będzie mógł o swej sile, kilka tygodni upłynie. Pobicie okrutne, a innyby je pewnie życiem przypłacił. Któż wie, co z nim będzie?

Z tem odjechał Zerwikaptur, najmocniejsze mając postanowienie powrócić corychlej do klasztoru, bo mu Bużeńskiego żal było i ratować go chciał koniecznie, zamierzając zabrać na wieś do siebie.

Ale chłop strzela...

Panna Antonina cześnikówna, dla której pobożną pielgrzymkę odprawiał, a do której rączki aspirował od roku, nie mogąc się zabrać na oświadczenie, w ciągu podróży, wraz z matką swą, tak okazała się łaskawą dla Kalasa, iż *insperate* się jej na popasie, po trzech kieliszkach wódki wypitych dla kurażu, oświadczył i... został przyjęty.

To go tak wstrząsnęło razem i uszczęśliwiło, tak poruszyło, iż zupełnie o Bużeńskim zapomniał.

Oświadczenie się pociągnęło za sobą następstwa nieskończone. Stracił głowę Kalas. Jeżdżąc po krewnych panny, umawiając się o termin wesela, czyniąc przygotowania, nie miał już na nic więcej czasu.

Sumienie swe uspokajał tem, gdy mu Bużeński na myśl przyszedł, że poczciwi ojcowie Bernardyni nie opuszczą biedaka, że zrobią dla niego, co tylko się da uczynić, aby ratować nieszczęśliwego.

Odkładając od tygodnia do tygodnia, potem od miesiąca do miesiąca, napisał do gwardyana, prosząc, aby mu dał znać tylko, gdyby Bużeński się gwałtem z klasztoru chciał wyrywać. A że odpowiedzi na list ten nie było, uspokojony, zajął się znowu przygotowaniem do wesela. Dopiero w sierpniu ruszyło go sumienie dowiedzieć się o porucznika i, parę dni na to przeznaczywszy, pojechał do klasztoru.

Do miasteczka przybywszy przed wieczorem, nie tracąc czasu, ledwie się otrząsłszy z pyłu, pobiegł Kalas do o. gwardyana. Chciał naprzód od niego zasięgnąć wieści, co się działo z Bużeńskim, i strach go opanowywał na myśl, czego się tu dowie.

O. Rafała zastał na poufałej konferencyi z kwestarzem Michałem. Obaj przywitali go z tą niczem nigdy niezamąconą wesołością, która niczego domyślać się nie dawała. Kalas pośpieszył z pytaniem:

— Cóż się z tym biedakiem dzieje?

— No, nic złego! — odparł, prosząc siedzieć, gwardyan. — Nie możemy się pochwalić, aby był na duszy zdrów, tak jak jest, dzięki Bogu, na ciele; ale stan teraźniejszy zawsze lepszy od dawnego.

— Jest tu? — wtrącił Kalas.

— A jakże! — zawołał, ręce trąc, kwestarz — i nie ma wielkiej ochoty uciekać, wierzcie mi.

Zerwikaptur, zdumiony wielce, umilkł, spoglądając na wesołe oblicze księży.

— To prawie nie do wiary! — zawołał. — Gdy go widziałem raz ostatni, był w stanie rozpaczliwym.

— Mówiłem już acanu dobrodziejowi — przerwał gwardyan — że i teraźniejszy stan nie jest bardzo błogim. Wiele zostaje do życzenia, ale zobaczycie go sami. Sądzę, że różnica wielka od tego co było.

— Gdzież mam go szukać? — zapytał, wstając, już niecierpliwy Kalas.

— Ja zaprowadzę — odparł kwestarz. — Pewny jestem, że w ogrodzie być musi, bo tam najczęściej siedzi, a czasem i pracuje.

— Pracuje? — z niedowierzaniem zapytał Zerwikaptur.

— No, tak się to nazywa; jeśli chcecie, powiedzmy, że się bawi — dodał brat Michał. — Chodźmy!

Wieczór był piękny; w milczeniu przeszli korytarze klasztorne i z nich dostali się do ogrodu, którego gęstą zieleń oblewały ostatnie promienie zachodzącego słońca.

W ulicach widać było kilku zakonników, przechadzających się z brewiarzykami w ręku. Inni stali parami na rozmowie.

Kalas, szukając oczyma, nie dostrzegł Bużeńskiego. Brat Michał także oglądał się na wszystkie strony i poprowadził na lewo. Uszli kilkadziesiąt kroków, gdy zdala ukazała się chuda, sucha postać człowieka w obcisłej sukni, butach do kolan, w czapce na głowie wyłysiałej. W niej Kalas więcej się domyślił, niż poznał Bużeńskiego.

Szedł on z głową spuszczoną, krokiem wolnym, kulejąc na jedną nogę. Kalas, zbliżając się, myślał, jak go ma przywitać. Nie taił tego przed sobą, że swem przybyciem poruszy stróny, które brzmieć przestały.... i mogą wydać dźwięk przykry. Powoli podchodził, tak, że Bużeński, kroki usłyszawszy, wzrok podniósł i zatrzymał się. W twarzy jego spostrzedz mógł Kalas drganie jakieś.

— Jak się masz? — odezwał się, nie wysilając na powitanie.

— No, widzisz, żyw jestem — odparł Bużeński dosyć spokojnie, choć głos mu nieco drżał. — Kazali mi gwałtem żyć Bernardyni — i muszę!

Kalas nie wiedział już naprawdę, o czem zagaić, tak się lękał rozdrażnić go.

— Cóż cię tu przygnało? — zapytał porucznik.

— Przejeżdżałem tędy — skłamał Kalas.

Brat Michał, widząc, że rozmowa się spokojnie rozpoczęła, usunął się nabok, zostawiając ich samych. Zaczęli razem iść ulicą. Uderzało to szczególniej w Bużeńskim, że dawniej gwałtowny, wzburzony, niepokojący się, teraz wyglądał jakby odrętwiały i zastygły. Twarz zestarzała, zżółkła, nie miała wyrazu szyderstwa... Była zmęczoną i obojętną. Bużeński, równie jak Kalas, zdawał się mieć trudności w prowadzeniu rozmowy, nie chcąc także poruszyć popiołów i rumowisk.

Wśród tego milczącego pochodu, nastręczył się im o. Anioł, który o przybyciu Kalasa nie wiedząc, teraz dopiero go zobaczywszy, z serdecznością wielką witać zaczął i zwrócił się do Bużeńskiego:

— Widzisz pan, na mojem stanęło; pewien byłem, że przyjaciel odwiedzi was.

— I byłbym to daleko wcześniej uczynił — rzekł Kalas — ale w istocie zaszły przeszkody nadzwyczajne.

Bużeński ciekawie obejrzał się na niego. Uśmieszek dziwny, jaki dawniej nigdy się na jego ustach nie ukazywał, przesunął się po nich.

— Przysiągłbym, — rzekł — że Kalasisko albo się ożenił, lub żeni, bo on należy do tego rodzaju ludzi, którzy w końcu zawsze muszą parę znaleźć sobie.

— Trafnie odgadłeś— rzekł, rad z tego zwrotu, Kalas — w istocie, żenię się.

Wejrzenie na Bużeńskiego, w którego twarzy lękał się spotkać urągowisko, zdziwiło go znowu. Porucznik skłonił głowę i rzekł:

— Byłem tego pewnym.

O. Anioł wtrącił się do rozmowy, z życzeniem szczęścia.

Idąc tak powoli, znaleźli się w ulicy, w której ozdoba nowa uderzyła Kalasa. Nie przypominał jej sobie w dawniej znanym mu ogrodzie. Przy murze rodzaj małej groty zawierał w sobie klęczącego na modlitwie w ekstazie św. Franciszka z Asyżu. Drewniana figura, pomalowana, miała wiele wyrazu.

— Coś nowego! — wtrącił Kalas.

— Robota o. Anioła — rzekł porucznik, trochę się ożywiając. — Człowiek szczęśliwy. Na wszystko ma czas, godzin w chórze nie opuszcza nigdy, modli się jak nikt goręcej,,, a rzeźbi, złoci, maluje, toczy, naprawia kobierce... i czas mu tak schodzi.

Zamilkł i obracając się do Kalasa, dodał nagle, śmiejąc się:

— Wiesz to paradna rzecz! nie dasz chyba wiary. Ja tu wyjdę pono na organistę! Niegdyś — dawne dzieje — grywalem licho na klawikordzie. Otóż tu począłem próbować organów. Okazuje się, że nic nie umiem, ale ucho mam; więc, gdy brat Antoni nie domaga, ja obejmuję klawiaturę.

Dziwnie sucho, smutnie począł się śmiać Bużeński.

Kalas słuchał niemal osłupiały. Chodził więc już do kościoła porucznik.

Wtem powołano ich na wieczerzę do refektarza i Bużeński poszedł razem. Siadł w końcu stołu, zachował się milcząco i spokojnie, a w czasie modlitwy, choć nie odmawiał jej, wstał. Kalas potem z nim razem udał się do tej samej celi, którą i teraz jeszcze zajmował.

Mimo obawy, aby jakiem słowem nieostrożnem nie rozbudzić starych wspomnień, rozstać mu się z Bużeńskim trudno było. Obudzał w nim, oprócz innych uczuć, ciekawość. Rad był zajrzeć w głąb tej duszy poranionej, zabliźnionej i zapewne bolejącej jeszcze.

Gdy do celi weszli, porucznik się przeszedł po niej parę razy milczący, a potem stanął naprzeciw Kalasa.

— Ciąży mi to wielce, że ja tu dla tych ludzi, co z jałmużny żyją, brzemieniem jestem — rzekł cicho.

— Nic łatwiejszego, jak się z tego położenia wyzwolić — odparł Kalas. — Mam lasy, mam dwór dla leśniczego. Lubisz samotność. Chcesz, to osiądź sobie spokojnie u mnie. Najmniejszej mi nie zrobisz różnicy.

Bużeński nie ruszał się z miejsca, zadumany.

— Dziękuję — rzekł. — Przyjąłbym twoją ofiarę; lecz mam-li prawdę rzec? Zupełnej samotności z sobą samym się lękam. Śmieszno mi się przyznać, ale prawdziwie nie wiem, jak przyzwyczaiłem się do tych ludzi i ich życia. Wstyd mi, bo słabość to jest....

Nie dokończywszy, chodzić począł znowu:

— Religii nie miałem i nie mam —rzekł. — Dawniej jej w drugich nie uznawałem, dziś się to zmieniło... Zazdroszczę im. Oni są z tem szczęśliwi! Szpital, to jest ten klasztor — dodał. — No tak... ale okazuje się, iż bez nich obejść się trudno. Przez czas tej mojej choroby, ciągle się spodziewając umrzeć, patrzyłem i obserwowałem wiele. Coby taki asceta, jak o. Serafin, na świecie robił, gdyby go stąd wygnano? Słowo daję, nie wiem. A o. Gabryel podobnież, a o. Anioł, który pono artystą by nie potrafił być, gdyby go na swobodę puścili, boby mu się głowa zawróciła?... Wszyscy tu oni na swem miejscu, a że bab niema, sami są, siedzą jak u Pana Boga za piecem.

Jedno wspomnienie kobiet było jakby oddźwiękiem przeszłości. Kalas unikał podniesienia go umyślnie.

— Ta chata w lesie smakowałaby mi może — mówił dalej Bużeński — ale boję się samotności. Powtarzam...

Wzdrygnął się.

— Nie wiem, na co żyję, bo ochoty, ani potrzeby życia dla siebie nie czuję, dla drugich zaś na nic się nie zdałem. Ale trzeba tę farsę dograć do końca. Nie chciałbym już w niej ani monologów zbyt tragicznych, ani zakończenia. Spokojnie skuliwszy się... umrzeć. Tu, gdzie zaczyna mi być w duszy mroczno i czuję, że na burzęby się zebrać mogło, idę grać na organach, pomagam o. Aniołowi w obrabianiu kloców, kopię w ogrodzie, i tak ogłupiawszy, spotniawszy, śpię potem bez snów.

Słuchając, Kalas napróżno szukał na to odpowiedzi.

— Chciałbym w istocie ojcom być w czemś użytecznym — dokończył Bużeński — aby mnie nie wygnali.

— O to się nie masz co obawiać — wtrącił Kalas.

— Tak, — odparł Bużeński — lecz, jak ono jest, to jest — reguła... to nie szpital, ani przytułek dla podupadłej szlachty. W końcu mi muszą drzwi pokazać.

— Ja się rozmówię o tem z gwardyanem — rzekł Kalas.

— Daj pokój, nie, nie trzeba! Miłosierdzia nie chcę! — zawołał Bużeński. — Organista wkrótce zdaje się pójdzie muzykować gdzieindziej, a ja się nałamię do organów.

Zwrócił się do Kalasa, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Cóż ty na to? hę! Bużeński dławidudą u Bernardynów! Naprawdę, trzeba było osobliwego zbiegu okoliczności.

Godzina się zbliżała, w której Kalas musiał klasztor opuścić, bo miał nocować w mieście. Rozstali się do jutra. Wyszedłszy za furtę, Zerwikaptur przeżegnał się mimowoli, tak był zdumiony, tak nie pojmował tego, co się z Bużeńskim stało. Wydawało mu się to, jeśli nie cudem, to czemś do tego zbliżonem.

Nazajutrz rano wstąpił do kościoła i pod chórem zobaczył w kącie, stojącego z założonemi rękami, Bużeńskiego. Nie modlił się wprawdzie, ale znalazł się tu, gdzie dawniej nie bywał nigdy.

Po mszy wyszli razem.

— Słyszałeś — odezwał się porucznik — jak obrzydliwie ten stary przygrywał na organach? Ja ci powiadam, że za kilka miesięcy potrafię lepiej. Klucze już wypróbowałem. Nogami po pedałach źle chodzę, ale tam jak jedną nutę pociśniesz kiedy niekiedy, tak huczy, że jej starczy.

W ciągu dnia ani razu nie zachmurzył się i nie uniósł podawnemu Bużeński. Po cichu spytał Kalas o. Gabryela, kto tak cudownie ułagodził tę naturę, dotąd nieokiełznaną i buntowniczą.

— Kto? — odparł o. Gabryel. — Chyba sama ta atmosfera klasztorna. Żaden z nas nie próbował go nawracać, nie czując, aby był przygotowanym. W duszy jego własne siły uspokajająco działały. Jestem pewny, że czas więcej jeszcze uczyni.

Z o. gwardyanem na osobności się widząc, Kalas począł go usilnie prosić o to, aby Bużeńskiego nie wyganiano z klasztoru.

— Nikt o tem ani myśli! Zlituj się! — zawołał gwardyan — znamy położenie jego. Byłoby to zbrodnią znowu go w świat rzucić. On sam chyba...

— Nie, on o tem ani myśli — odpowiedział Kalas. — Zapraszałem go na wieś do siebie... Odmówił.

Dwa dni tu zabawiwszy, Zerwikaptur do domu powracać musiał. Z Bużeńskim pożegnali się trochę chłodno. Była chwila, iż chciał przeprowadzić przyjaciela na miasteczko, do gospody: ale zawahał się u furty, uściskał Kalasa i zawrócił, jakby się zląkł tego powietrza, które go zewnątrz owionąć miało.

Zerwikaptur wkrótce się ożenił, a w miodowych miesiącach, niedziw, że trochę o przyjacielu zapomniał. O. gwardyan przyrzekł mu najmocniej, gdyby co zaszło z Bużeńskim niespodziewanego, że go natychmiast zawiadomi.

Nie odbierając wieści żadnych, Kalas uspokoił się i nie myślał o poruczniku, przerobionym na organistę....

Rok tak upłynął, a żona jego, która przypisywała pono Świętemu Antoniemu wynalezienie męża, zażądała być znowu na odpuście....

Wchodziło to tak dobrze w plan Kalasa i odpowiadało życzeniu jego, iż z największym zapałem myśli tej przyklasnął.

Posłano tylko przodem kuchtę, aby w gospodzie zajął izbę, o którą w czasie odpustu było trudno, a państwo nocować tam chcieli. Wieczorem, przybywszy już po nieszporach, Kalas nie wybrał się do klasztoru, na jutro to odkładając.

Odpust i w tym roku, chociaż dni były gorące, wielką się odznaczał frekwencyą osób z dalekich stron przybyłych. Od rana klasztor był w oblężeniu.

Po wotywie, nie czekając sumy, żonę z matką jej pozostawiwszy w kościele, Zerwikaptur pobiegł do klasztoru.

Pierwszym znajomym, którego tu spotkał, był ks. Anioł. Ten spojrzał mu w oczy pytająco jakoś i dziwnie...

— A cóż wasz organista? — spytał Kalas.

— Jakto? pan nic nie wiesz?

— Cóż się stało?

— Pochowaliśmy biedaka niespełna cztery tygodnie temu.

Tyle tylko mógł powiedzieć o. Anioł, bo już go z zakrystyi wołano.

Musiał, chcąc się czegoś dowiedzieć, czekać Kalas, aż się całe nabożeństwo skończy. W refektarzu ten sam był natłok wesołych gości. Witali go znajomi.

Ponieważ gwardyan nadto był zajęty, zwrócił się do podkomorzego przybyły; ale ten, oprócz podziwu nad cudownem Opatrzności zrządzeniem, która dała tu burzliwego życia dokończyć człowiekowi skołatanemu — o zgonie, o przyczynach jego nie umiał nic powiedzieć.

W czasie nieszporów o. Serafin był wolny; poszedł do niego Kalas, niespokojny, aby się czegoś dowiedzieć o przyjacielu.

— Z czegóż zmarł Bużeński? — zapytał.

— Zaprawdę dla nas wszystkich to było i jest zagadką — rzekł o. Serafin. — Nie był chory, słabł tylko w oczach i niknął, gasł, jak wypalony kaganek, nie cierpiąc nawet. Dniem dopiero przed śmiercią, poskarżywszy się, że mu nogi nie służą, że słabym się czuje, położył się do łóżka. Nie przeczuwał, ani domyślał się zgonu i my też, wiedząc, jak silną była i wytrwałą ta natura, nie przypuszczaliśmy tak rychłego końca. Bylibyśmy z obowiązku starali się tę biedną duszę, w którą może już jakiś promyk wstąpił, uratować. Drugiego dnia, gdy długo nie wstawał, brat Dydak poszedł do niego i znalazł już ostygłym...

— A w ostatnich czasach — wtrącił Kalas — nie widać w nim było zmiany?

— To co się w nim działo — rzekł o. Serafin — zakrytem było dla nas. Zmieniał się na lepsze, to pewna; lecz przychodziło to tak nieznacznie i zwolna, że dostrzedz było trudno. Żartem zaczynał niby mówić o tem, że dla zupełnego uspokojenia radby wdziać sukienkę, przypisując jej cudowne działanie; lecz do tego nie doszło. Chodził i pracował w ogrodzie, ciosiał u o. Anioła, próbował przygrywać na organach, ale sił mu później brakło, choć widać było, że się nie poddawał osłabieniu, które czuł w sobie. W ostatnich dniach spokojnym był i wesołym nawet. O przeszłości swojej nigdy nie wspominał. Żal nam go bardzo. Któż wie?... Trochę dłuższe życie możeby...

O. Serafin, nie kończąc, ręką rzucił i zamilkł smutny.

— Bóg — dodał — łaskaw będzie duszy, która w walce z życiem przecierpiała wiele.

KONIEC.



Projektowane obserwatorjum astronomiczne w Częstochowie.

Niedawno „Dziennik Powszechny“ umieścił na swych szpaltach następującą wiadomość z Częstochowy:

Rzadko kto zapewne wie o tem, że w Częstochowie jest człowiek, który wszystkie wolne od szczytnych swych codziennych obowiązkowych zajęć, poświęca czystej nauce.

Kapelanem zakładu dla paralityków przy ulicy Wieluńskiej jest ks. prefekt Bonawentura Mettler. On to właśnie od dawna już cicho, bez rozgłosu zajmuje się nader poważnie astronomią.

Ks. Mettler własnemi środkami urządził sobie nawet małe obserwatoryum, sprowadził z zagranicy odpowiednie przyrządy, ale pragnąłby obecnie rozszerzyć szczupłe ramy swej pracowni naukowej i uprzystępnić korzystanie z niej szerszym warstwom. Własnemi jednak siłami uczynić tego nie może, miasto więc i tutejsze instytucye naukowo-kulturalne stanowczo powinny się tą sprawą zająć i stworzyć obserwatoryum astronomiczne na szerszą skalę.

W parku miejskim wśród kilku pozostałych po b. wystawie budynków jest pawilon „Zawiercie“, który nadaje się najlepiej na umieszczenie w nim projektowanego obserwatoryum ks. Mettlera.

Pewne konieczne przeróbki nie wyniosłyby zbyt dużo, a Częstochowa pozyskałaby instytucyę pomocniczo-naukową, doniosłego znaczenia teoretycznego i praktycznego.

Myśl piękna. To też postanowiłem bliżej zbadać tę sprawę i w tym celu udałem się do Szanownego profesora Ks. Mettlera, którego, mówiąc nawiasem, zastałem przy swej ulubionej pracy.

Przyjęty mile w jego pracowni astronomicznej przy ulicy Starej, rozpocząłem pogawędkę w Uczonym Profesorem od prostego pytania:

— Z tego, co tu wokoło Szanownego Ks. Prefekta (bo Ks. Mettler jest nauczycielem religii w prywatnych pensyonatach tutejszych) widzę, należy wnosić, że astronomia jest treścią jego życia.



Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego".

Pracownia astronomiczna ks. Metlera przy ulicy Starej w Częstochowie.

— Tak, w rzeczywistości. Po najcięższej pracy, gdy ktoś ciekawy zapragnie oglądać cuda przestworzy niebieskich, nie czuję się znużonym i godziny całe mile przechodzą mi na obserwacyach astronomicznych z pożądanym zawsze gościem. Szkoda tylko, że dla tak wielu, nawet z wykształceniem wyższem, astronomia pozostaje rzeczą obojętną.

— Zapewne dlatego, — odezwałem się, — że astronomia jest nauką dość trudną. Potrzeba znajomości matematyki, a ta nie każdego zajmuje.

— Bardzo słusznie. Jeśli kto chce wystawiać sam formuły astronomiczno-matematyczne, obowiązany jest przejść cały zakres gimna-

zyalny matematyki średniej, a następnie studyować wyższą matematykę w uniwersytecie i na chwilę, że się tak wyrażę, wyższej matematyki z rąk nie wypuszczać. Dla tych jednakże, co chcą wierzyć astronomom i zadawalniają się wynikami ich prac, wystarcza przypomnieć sobie trochę z średniego kursu nauk matematyczno-fizycznych, co przy czytaniu dzieł popularyzujących naukę niebieską, przychodzi łatwo, jakby automatycznie. Ale przedstawmy rzeczy obrazowo. Aby z rodzinnej wioski, położonej w dalekiej prowincyi, dostać się do stolicy, wystarczy skorzystać z istniejących już środków komunikacyi; innego rodzaju trudnością byłoby stwarzać samemu owe środki przenoszenia się z miejsca na miejsce. Nie każdy to może.

— Więc ksiądz astronom naszą „bezgraniczną“ ziemię przyrównywuje do małej rodzinnej wioski...

— Przypuszczam, że szanowny ksiądz redaktor nie wyda za to na mnie dekretu banicyi, jak to ongi spotkało Hipparka ze strony Greków, swych współobywateli, których dumę narodową obraził twierdzeniem, że słońce jest większe od Peloponezu. Mówiąc seryo o tej naszej ziemi, to jest ona śród przestworzy niebieskich zaledwie punkcikiem, którego z żadnej z gwiazd nigdy nikt nie widział...

— Naturalnie, — powiadam, — jeśli tam na tych gwiazdach jest kto?

— Astronomowie konstatują mieszkania, a gdzie są mieszkania, pewnie i mieszkańcy się znajdą...

— Zapewne Szanowny Ksiądz Profesor ma na myśli owe słowa: „U ojca mego wiele jest miejsc“ — „Apud Patrem memu multae seunt mansiones“.

— Zaiste „wydał Bóg ziemię — dodałbym — i niebo — badaniom ludzkim“. Dlaczego mieć taką bojaźń wyjrzenia poza opłotki tej rodzinnej wioski — ziemi?...

W tej chwili przybył p. D., ulubiony uczeń ks. Mettlera w dziedzinie astronomii i Szanowny Profesor zaprosił nas do obejrzenia swego ulubionego dzieła, nad którem już kilka lat pracuje. Jest to okazały 12-calowy teleskop, z którym doświadczenia robił w r. 1906, znany w całym świecie astronom francuski, Camille Flammarion.

Po obejrzeniu teleskopu, zwróciliśmy do Szanownego Ks. Mettlera z uwagą, że byłoby rzeczą bardzo pożyteczną zaznajamiać szerszy ogół z nieocenionemi dobrodziejstwami, jakie astronomia od wieków wyświadcza ludzkości.

— Bezwątpienia! — bo, proszę, — kto z ogółu myśli o tem, że bez obliczeń astronomicznych życie ludzi, jako społeczeństwa zorganizowanego, mającego swe zwyczaje, prawa i czasy, byłoby niemożliwe?

Żaden kapitan okrętu nie śmiałby się puścić w daleką zamorską podróż, nie mając w ręku ściśle określonych dróg ciał niebieskich, które mu służą za jedyne drogowskazy śród mórz i oceanów.



Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego".

Teleskop, zbudowany przez ks. B. Metlera, którego zwierciadło waży 30 funtów.

Nie chcąc zajmować drogiego czasu szanownemu uczonemu, pozwoliłem sobie zadać mu jeszcze jedno pytanie.

— Jakie też w duszy astronoma powstają wrażenia na widok tych niezmiernych wspaniałości gwiaździstego nieba, gdy śród nocnej

ciszy, zawierzywszy swemu teleskopowi, puszcza się w bezdenną światów głębinę?

— Zależy to od usposobienia tejże duszy... Przypominam sobie pewne silne wrażenia, które mi pozostały z mojej podróży na około świata w r. 1901—1902. Było to po wspaniałem — naukowo mówiąc — przyjęciu mnie, jako gościa z Europy w obserwatoryum w Sydney przez rządowego astronoma H. C. Russel'a. Jeżeli panowie chcecie, chętnie wam je odtworzę, tak, jak je zatrzymałem w pamięci.

— Słuchamy z największą przyjemnością!

— „...Po chwili już z miłemi zapoznałem się i pobratałem gwiazdeczkami — szczebiotkami. O! jakie one dobre, jakie hojne, a jak bosko się śmiejące... bo każda uszczknie ze snopa swego światła najpiękniejszy promyczek i w mojej, boleścią ściemniałej, zaszczepi duszy, tak, że po chwili zupełnie się rozjaśniło na widnokręgu mej myśli, a około serca łagodniutkie, wyszłe z twarzyczek niebieskich gwiazdeczek, skupiło się ciepło. I mnie samemu zrobiło się swobodnie, niebiańsko....

„Tymczasem, spojrzawszy w stronę „Krzyża Południowego“ [1]), spostrzegłem, jak się gwiazdeczki rozstąpiły w jednym punkcie niebios. Zrozumiałem, o co chodzi. Więc bez namysłu, czując w piersi moc bystrych promyków, przez śliczne towarzyszki błądzącemu po ziemi, po dalekich oceanach, gdzieś na małej wyspie zagubionemu, w darze ofiarowanych, sam w gwiazdeczkę się przemieniłem i w tym jednym próżnym niebios punkcie się schowałem.

„Potem przyszło mi na myśl zapuścić się w niezmierną przestrzeń, trzymając się wciąż prostego, a w stosunku do środka ziemi pionowego kierunku.

„Zostawiłem więc po cichutku me towarzyszki niebieskie, gwiazdeczki, i aby odejścia mego nie dostrzegły, z otrzymanych od nich promyczków uwitego gniazdka bynajmniej nie naruszając, samiutki wyślizgnąłem się w nieskończoność. Dwa tylko ze sobą zabrałem promienie: jeden umieściłem na przodzie mego lotu, a drugi w tyle, — abym wiedział, jak biegną i śladów za sobą nie stracił...

„Długo leciałem; a szybko bardzo: trzysta tysięcy kilometrów [2]) na sekundę było mi za mało, bom jeszcze me świetlane popędzał promyki; — a zawsze naprzód i w prostym kierunku...

---

[1]) Najwspanialszy gwiazdozbiór przy biegunie południowym, gdzie się znajduje jedyne w świecie gwiaździstym jakby próżne miejsce, zwane po francusku „sac de charbonnier“, gdyż ma dalekie podobieństwo do czarnego worka, spoczywającego na plecach i głowie węglarza w chwili roznoszenia węgli.

[2]) Światło przebiega na sekundę 300.000 kilometrów.

„Już miła i gościnna znikła mi z oczu ziemia. Chciałem na chwilę przedtem dojrzeć żywej, wiotkiej Australii: — na próżno...

„Ciągle jeszcze leciałem, a zawsze w prostym kierunku... Jedna po drugiej znikały, czy się chowały, me towarzyszki niebieskie gwiazdeczki, a najpierw ta, co się szczyci mianem Alfy Centaura [1]. Coraz mniej ich widziałem, czy rozeznawałem; aż w końcu z nich wszystkich tylko mglisty, choć świątły pozostał mi chaos [2]... Ja jeszcze biegłem... Wtem, spostrzegam przed sobą, podobny do pozostawionego, światły chaos. W miarę mego zbliżania się rozpoznaję w owej mgławicy gwiaździstej miljonowe grono śmiejących się gwiazdeczek. Co jedna, to piękniejsza... Jeszczem takiej nie widział... A każda słodziuchno się uśmiecha do pędzącego z nieznanych im okolic niebios mieszkańca i miganiem grzeczniutko ku sobie wabi...

„Już dobiegłem pierwszych ich rzędów. Każdą, zda się, ucałowałem i — dalej w lot..., a zawsze w prostym kierunku, — jeden promyk - towarzysz przedemną, a drugi za mną.

„Już wszelką rachubę czasu straciłem, — wciąż biegłem... Spotkana po drodze pierwsza usuwa się od mego wzroku gwiaździsta rzesza. Potem czyni to samo druga; potem trzecia i jeszcze inna i t. d., i t. d. Gdy nawet zatraciło się we mnie pojęcie czasu, — ja jeszcze biegłem, a zawsze w prostym kierunku — jeden promyk naprzód, a drugi z tyłu...

„Nie mogąc zliczyć napotykanych gwiazdeczek, chciałem chociaż zapamiętać liczbę przebieżonych mgławić, które tworzyło mi oddalanie się od mych towarzyszek światłobarwnych z nich samych; ale doliczyć się nie mogłem...

„Już i samej przestrzeni zacząłem tracić świadomość. Wtem ją straciłem i — o ile pamiętam, lot mój do nieskończenia spotęgowawszy, tylko byłem...

„Tam, gdzie... Akt Czysty“ [3] umieścił bramy, prowadzące do Świątnicy Nieskończoności, tam ja byłem...

„Ach! Nieszczęśliwa myśl-żądza ujęcia w wymiarność przebieżonej drogi — chciałem, jak geometra, wykreślić i przestrzeni i lotu mego rzeczywistość i w skończone ująć formy i formuł zlepki. Chciałem do tego użyć mych dwóch promyków: — tego, co biegł przedemną i tego, co szedł za mną; lecz już ich nie było... Prysnęły precz ode-

---

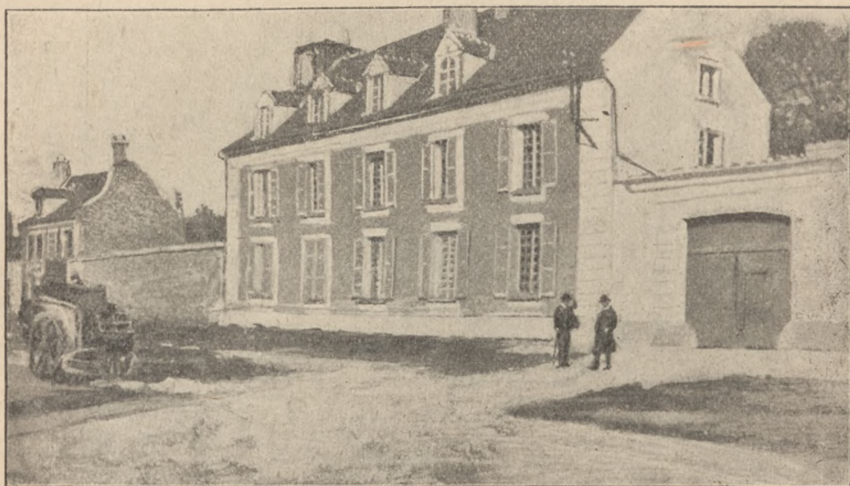
[1]) Alfa Centaura najbliższa ziemi gwiazda; odległość jej wynosi 41.000.000.000.000 kilometrów.

[2]) Wszystkie gwiazdy, co w naszym zakątku niebieskich przestworzy się mieszczą, stanowią tylko jedną, w przestrzeni tak zwaną „mgławicą gwiaździstą“.

[3]) Bóg według określenia Arystotelesa.

mnie, — pewnie w chwili, gdym zbliżył się do bram Świątnicy Nieskończoności.

„Więc strach mnie ogarnął..., a przerażenie rzuciło mną o bramy Świątnicy Nieskończoności. — Jam w mym obłędzie do niedostępnego żadnemu stworzeniu chciał wejść do Sanctuarium „Aktu Czystego“. Lecz w tejże chwili zdało mi się, że jestem świętokradzcą: — i ogrom majestatu nieskończonego Bóstwa, jakby przed mem jestestwem wycisnął bezdenną przepaść nicości i określenia... Nigdy dotąd nieodczuwana opadła mię trwoga... Już, już miałem z nieskończonej wyżyny runąć w nieskończoną głębię... Więc tylko, wszystkie pozostałe mi siły skupiwszy, jakby w jęku przedśmiertelnym w próżnię utraconej świadomości niebieskich przestworzy, zawołałem:



Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego".

Obserwatorium ks. Mettlera w Juvisy w okolicach Paryża, ignorowane przez Camille'a Flammariona w r. 1899.

„Nieskończony! gotowe serce moje, gotowe do pójścia za Tobą w zachwycie Twej piękności, dobroci i miłości, choćbym w dostrzeżoną co dopiero wpaść miał nicestwa i określenia przepaść... nieskończony, niepojęty, nieokreślony, za Tobą biedz przez nieskończoność, — to życia i istnienia wiecznie świeży czar....

„Ledwie ostatnie wymówiłem słowo, Dziewica [1]), co jedna umie

---

[1]) „Signum magnum apparuit in coelo. Mulier amicta Sole et luna sub pedibus ejus, et in capite ejus corona stellarum duodecim“ (Apoc. Cap. 12).

zwalczyć ciemności i trwogę zabłąkania, i ku Nieskończonemu grzeszne przywieźć stworzenie, o całą tę głębokość widzianej pode mną przepaści podniosła mnie, a, uczyniwszy na czole mojem znak miłości, zatrzymała przed bramami „Aktu Czystego“.

„Z wnętrza Świątnicy dochodziły uszów mych dźwięki, jakby finał wszechświatowej o cudownej harmonii pieśni: — „Wieczna niezmienność!... Wieczysty pokój!...“



Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.

Pawilon Tow. Akc. „Zawiercie“ w parku Częstochowskim, gdzie projektowane jest urządzenie Obserwatorium astronomicznego ks. Mettlera.

„Po trzykroć odbijał się o duszę mą, żarem tęsknoty i niepewności wrzeniem targaną, ten Boski finał. Potem nastała cisza, tak głęboka, jak Niebios przestworze. I ja się uciszyłem. Odstąpiła odemnie trapiąca srodze niepewność, a miejsce tęsknoty zajęła wszechświatowej harmonii tryumfująca niezmienność.

„Przysiągłbym był wtedy, że jestem niezmienny... Jeden krok dalej, a zdawało się, stanę na wieki w Sanktuaryum „Aktu Czystego“... Pokusiłem się...

„Ach! ten krok nieszczęśliwy!... bo, gdym zakraść się chciał do nieskończoności przybytku, było to moje „salto mortale“... Wymiary mego jestestwa prysnąć musiały pod natłokiem Tego, co żadnej nie zna granicy, i wpadłbym był w przepaść nicości, gdyby znowu ta sama Dziewica, wziąwszy mnie, jako dziecię, nie złożyła na niewzruszonej zmiennością czasów epoce. Wnet znikła sama, położywszy palec mój na wykutym w tej epoce napisie:

„Skała Piotrowa“.

„Więc biegnąc ku Nieskończonemu, na miejsce, z któregom wyszedł, znowu wróciłem...[1]). Jak Kolumbowi, ukazała się ziemia“.

Po wysłuchaniu tej medytacyi filozoficznej, cechującej głęboką wiarę Szanownego Profesora, zwróciłem się z zapytaniem, co myśli o pogłosce założenia tu, w Częstochowie, obserwatoryum astronomicznego?

Pełen zapału, odrzekł, że myśl ta musi doczekać się urzeczywistnienia!

— Viribus unitis wszystkiego można dokonać. Miejsce w parku naszego miasta, gdzie stoi pawilon Zawiercia, nadaje się wybornie do tego celu; słyszałem z pewnych ust, że miasto chętnie go na tak piękny cel ofiaruje. Pawilon ten należy tylko przerobić, a na utrzymanie go w porządku znajdą się siły umysłowe i finansowe naszego społeczeństwa, które zrozumie, że takie obserwatoryum będzie chlubą Częstochowy i miejscem naukowej rozrywki dla jej mieszkańców, a dla jej gości jedną więcej z najszlachetniejszych atrakcyi.

Na tem zakończyła się nasza pogawędka; pożegnałem ks. profesora życzeniem, aby piękna i pożyteczna myśl, jak najprędzej została w czyn wprowadzoną.

Ks. J. Adamczyk.

Kompania z Lublina u stóp Jasnej Góry.

W dniu 6 czerwca po południu przybyła kompania z Lublina pod przewodnictwem czterech księży: ks. Piotra Stodulskiego, ks. Feliksa Czyżewskiego, ks. Stanisława Kubickiego i ks. Wacława Krasuskiego. Pątnicy w ilości 1446 osób z pieśnią weszli na Jasną Górę i tam przez czas swego pobytu zanosili modły i błagania do przeczystej Dziewicy, wynagradzające za zniewagi, wyrządzone Jej w ostatnich czasach.

---

[1]) W wyższej matematyce mamy twierdzenie, że jeżeli promień koła przedłużamy do nieskończoności — $v = \infty$ —, obwód koła zbliża się do linii prostej. Innemi słowy biedz po linii, prostej aż do nieskończoności, jest to to samo, co bieg swój odbywać po obwodzie koła wielkiego, aż do nieskończoności; to znaczy ostatecznie powracać na to samo miejsce.

Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich w Częstochowie uprzyjemniło pątnikom lubelskim pobyt w Częstochowie, wystawiając na scenie „Obronę Częstochowy“ dwa razy. W ciągu całej podróży pątnicy, idąc za przykładem swoich pasterzy, zachowywali się pobożnie, pamiętając, że pielgrzymowanie do miejsca świętego jest czasem pokuty



Kompania z Lublina u stóp Jasnej Góry.

i przygotowaniem do pojednania się z Bogiem za przyczyną Bożej Rodzicielki, do której zanoszą pokorne modły o wstawiennictwo. Czas, spędzony na Jasnej Górze, upłynął im szybko na modlitwie; opuszczali to miejsce święte ze łzami, pragnąc, aby cześć Matki Najświętszej nie ustawała na tem wybranem i ulubionem przez Nią miejscu, po wszystkie czasy.

Ze szkoły muzycznej w Częstochowie.

W zatwierdzonej przez Min. Spraw Wewn. ustawie Szkoły Muzycznej Ludwika Wawrzynowicza w Częstochowie, zamieszczoną jest nauka gry organowej i w szkole znajduje się specyalny oddział dla organistów. W tych dniach Szkoła Muzyczna uzyskała zatwierdzenie

programu dla organistów przez J. E. ks. biskupa Stanisława Zdzitowieckiego i otrzymała dokument następującej treści: „Konsystorz niniejszem zatwierdza program szkoły dla organistów, utrzymywanej w Częstochowie przez p. L. Wawrzynowicza i daje jej prawa wydawania dyplomów“ etc. Podpisano:

Oficyał Apostolski Protonotaryusz *ks. Chodyński.*
Regens konsystorza *ks. Owczarek.*

Na wykłady liturgii dojeżdżać będzie profesor warszawskiego konserwatoryum, Henryk Makowski, przewodniczącym przy egzaminach dla organistów będzie ks. kanonik Leon Moczyński, profesor śpiewu i muzyki i kompozytor. Uczniowie pod kierunkiem p. Miłka, dyrektora chórów Jasnogórskich, śpiewać będą na Jasnej Górze części zmienne podczas mszy św., oraz nieszpory według rytuału i t. p. Wpisy będą uprzystępnione. Szczegóły będą podane w ogłoszeniach. Zapisy przyjmuje kancelarya szkoły pod adresem: Ludwik Wawrzynowicz, dyrektor Szkoły Muzycznej w Częstochowie.



Wiadomości pożyteczne.

Wiadomości pożyteczne.

Znakomity przyrodnik, Linneusz, cierpiał na podagrę. Pewnego dnia właśnie w chwili, gdy ból dokuczał mu niezwykle natrętnie, Linneusz jadł agrest i wydało mu się, że poczuł nagłą ulgę. Wówczas polecił, aby mu przyniesiono agrest ponownie; po zjedzeniu całą noc spał spokojnie. Od tej pory wielki botanik jadał agrest coraz częściej i wkrótce wyzdrowiał zupełnie. Czy środek ten istotnie prowadzi do celu? Ha, nie zawadzi spróbować!

W lipcu wolno polować na dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), na koguty głuszczów, cietrzewi i jarząbków; od dnia 14 lipca wolno polować na wszelkie ptactwo przelotne.

Światło wiary i nauki.

Wielka rocznica.

(Ciąg 3-ci).

W tej pracy nawracania na katolicyzm, jaka się wówczas w całej Polsce prowadziła, miał Skarga wielki udział, to pewna. Jego wpływ miał przywrócić Kościołowi wiele dusz, mianowicie wiele głów z ówczesnego senatu, liczącego tylu protestantów, żeby wymienić tylko Radziwiłłów, księcia Sierotkę, Jerzego, późniejszego kardynała etc., że zaś w Polsce przykłady takie zawsze działały, więc wierzyć można, że nawrócenie takich kilku protestantów, musiało rozszerzać się na coraz szersze koła, i że, jak dawniej, za przykładem Górków, Łaskich, Firlejów, na protestantyzm, tak teraz za przykładem podobnym przechodziła szlachta na katolicyzm. Że Skarga do skutku tej propagandy przyczynił się wiele, to pewna. I to był jeden środek jego działania, środek oczywiście godziwy, środek, w którym przymusu i gwałtu nie było i być nie mogło. Drugim, były jego pisma polemiczne. Jest ich znaczna liczba; owszem, pierwsze, które wydał, miało tę cechę kontrowersyi teologicznej. Było to dzieło napisane w odpowiedzi Wolanowi: *Pro Sacratissima Eucharistia;* a do końca życia nie ustawał Skarga w tej walce. Ile te jego pisma mają wartości teologicznej, o tem teologom sądzić; musi w nich przecież być dzielność niepospolita, skoro najdzielniejszy podobno z nowoczesnych polemistów katolickich, Bossuet, znał je i do nich się odwoływał.

Ale może w tych swoich pismach jest Skarga fanatycznym, prześladowczym? Przeciwnie. Wszystkie owszem dowodzą, że w owym wieku, któremu obcą była obojętność religijna, rzecz zła, osłoniona pozorem rzeczy dobrej i nazywająca się tolerancyą innych wyznań, Skarga był tak wyrozumiałym i dobrotliwym, jak mało kto z jego współczesnych. Najwyraźniej pokazuje się to w tych jego pismach, w których wyłożył swoje pojęcia o wzajemnym stosunku różnych wyznań w jednem państwie, a mianowicie w *Upominaniu do katolików o zachowaniu się z Heretyki,* i w *Procesie na konfederacyą.* Skarga ma nowe

wiary za fałszywe, a ich zjawienie się w Polsce za zgubne. Ale skoro już są, to gwałtem ich do Kościoła nawracać ani można, ani się godzi; a trzeba im zostawić nietylko wolność wiary, ale dostęp do wszystkich urzędów i dostojeństw, i „sąsiedzkiego towarzystwa“ (życzliwości w stosunkach prywatnych), im dochowywać. Żąda zaś, żeby heretycy wiary swojej do miast królewskich nie wprowadzali (podług ich własnej zasady *cujus regio ejus religio)*, żeby sądom duchownym i publicznym nabożeństwom katolickim nie przeszkadzali, żeby oddali te kościoły i te kościelne majątki, które zabrali nieprawnie, bo nie były ich. Przypomnijmy sobie, jakie były w całej ówczesnej Europie prawa i postępowanie katolików przeciw protestantom, a protestantów przeciw katolikom, i zapytajmy potem, kto w ówczesnym świecie był więcej od Skargi, a choćby tyle co on, sprawiedliwym i miłościwym?

W chwili, gdy katolicyzm po reformacyi skupił się w sobie i nabrał sam z siebie sił nowych i ogromnych, musiał on spostrzedz, że na wschodnich granicach Polski rozciągało się dla jego działalności pole ogromne, dotąd mało i bez skutku dotykane, a niezmiernie obiecujące. Był to punkt strategiczny, z którego spodziewać się było można, da się prowadzić dzieło zjednoczenia Kościoła wschodniego z zachodnim.

Że katolicyzm w Polsce, że Zygmunt III, Solikowski, Karnkowski, J. Radziwiłł, Jezuici, musieli zwrócić oczy w tę stronę, i za pierwszy swój obowiązek, po walce z protestantyzmem, uznać nawrócenie Rusi do Kościoła katolickiego, to było naturalne i konieczne.

Dziś, dziwnie to powiedzieć, to wielkie dzieło Unii, jest u wielu u nas ludzi dość niepopularne. Wiemy, że w dalszym ciągu wyniknęły fatalne skutki, nie z Unii, ale ze złego jej stosowania; i późniejsze upośledzenie tak wschodniej cerkwi, jak wschodniego obrządku, późniejsze nadużycia źle zrozumianego katolicyzmu, zwalamy czasem na Unię, jako na pierwszy powód.

Pojęcie fałszywe, niezgodne z historyczną rzeczywistością, ani z koniecznościami i korzyściami politycznego położenia ówczesnej Polski. Późniejsza zrobiła bardzo wiele złego, kiedy obrządek wschodni i duchowieństwo unickie zostawiala w poniżeniu, kiedy patrzala z góry na unitów i dawała im uczuć, że obrządek łaciński jest *praestantior;* zrobiła bardzo wiele złego, kiedy na powtarzane wielokrotnie żądania nie przyjęła biskupów unickich do senatu. Ale nie mieszajmy rzeczy późniejszych z dawniejszemi, a nadużyć, które się na Unji dokonywały, nie przypisujmy jej jako winę. Byłoby to to samo, co powiedzieć naprzykład, że prześladowaniom pierwotnego Kościoła przez Cezarów rzymskich było winne chrześcijaństwo. Zapewne, nie byłoby prześladowań, gdyby nie było chrześcijaństwa; u nas, gdyby nie Unia, nie by-

łoby może przyszło do starć pomiędzy katolikami i Grekami; ale nie Unia temu winna, że w późniejszych czasach nie umiano ani jej prowadzić, ani z niej korzystać.

Myśl była wielka prawdziwie, popęd był patryotyczny i cywilizacyjny. Bo wyobraźmy sobie dzieło Unii, prowadzone dalej tak energicznie, ale i tak mądrze jak w początkach. Patryarchat grecki byłby rzucał swoje gromy, moskiewski byłby prowadził swoje intrygi między Rusinami zapewne, ale gromy i podstępy byłyby się odbijały, jak groch od ściany, od serc i umysłów Rusinów jeszcze niepołączonych, na widok, że ich najbliżsi sąsiedzi chwalą Boga, jak oni, tym samym językiem, w tych samych formach, że wprawdzie poddali się pod zwierzchność rzymskiego Papieża, ale się przez to nie zlaszyli, łacinnikami nie zostali, a są we wszystkiem równi temu Lachowi, który dla Rusina był bądź co bądź przedmiotem zazdrości i podziwu. Ten przykład byłby swój skutek wywarł, stosunki nieuniknione, przyzwyczajenie, czas wreszcie, byłyby zrobiły resztę, a Unia dalej tak mądrze pielęgnowana, jak była dobrze zaczęta, byłaby się stała nietylko środkiem rozszerzenia wiary, nietylko kanałem, przez który katolicyzm mógł rozlać się po wschodzie, ale środkiem zabezpieczenia i rozprzestrzenienia Rzeczpospolitej kanałem, przez który byłaby przepłynęła na wschód cywilizacya zachodnia, Unią nie religijną tylko, ale polityczną z Rusią, i taką na wschodzie Europy warownię dla Kościoła, dla cywilizacyi i dla Polski, którejby żadna siła wschodnia zdobyć, ani obejść nie była mogła. Na tej opoce należało budować i Kościół, i twierdzę graniczną, a bramy piekielne nie byłyby ich przemogły.

Tylko, kiedy fundament był założony, dalej nie umieliśmy budowy prowadzić. Czy to wina tych, którzy położyli fundament? Przynajmniej nie wina Skargi.

Żołnierz Kościoła, jak stał w pierwszym szeregu tych, którzy bronili jego jedności od protestantów, tak stał i w pierwszym szeregu tych, którzy pracowali około jego zjednoczenia z Kościołem wschodnim. Owszem, więcej jeszcze. Zaledwo popęd był dany, zaledwo Rzym zaczął porozumiewać się w tej mierze z królem Stefanem, on wystąpił z dziełem, najważniejszem może, jakie w owym czasie było w tej kwestyi napisane, jednem z najpiękniejszych, jakie sam napisał; z dziełem *O jedności Kościoła Bożego*.

Mickiewicz takie daje dziełu temu świadectwo, i tak treść jego opisuje: „Z jednej strony zbijając różnowierców, powstających na Kościół, z drugiej wskazywał rządowi, jakiej drogi trzymać się był powinien. Przekładał Polakom, że główne żywotne zadanie wewnątrz państwa odnosiło się do ziem ruskich, że nie było innego sposobu spoić

nieodwołalnie te ziemie z Rzecząpospolitą, jak tylko przez węzeł jedności z Kościołem. Dla dopięcia tego celu, radził dać większą opiekę ludowi, polepszyć jego byt materyalny, i na ostatek skłaniać go ku wierze prawdziwej, nie za pomocą środków gwałtownych, ale przez apostolstwo. Wielkie te prawdy zawarte są w dziele: *O Jedności Kościoła.*

Z tych słów poznać się daje dwojaki cel dzieła: jeden jest teologiczny, czysto duchowny, nawrócenie Rusinów, drugi, przekonać Polskę, czem Unia dla niej być może, jak o nią dbać, jak się o nią starać powinna. Dla autora oczywiście ten pierwszy jest ważniejszym; nigdy u niego interes świecki nad duchownym nie góruje, ani temu za osłonę nie służy. Nawrócić Rusinów do Kościoła, to rzecz główna, dla tej używa wszystkich argumentów i całej wymowy; a Rzeczpospolita przytem zyskać może, to natrąca mądrze, wyraźnie, ale mimochodem.

Nie można tu wchodzić w rozbiór teologicznej, ani historycznej wartości dzieła. Dość wspomnieć, że z nawcy przyznają mu pod tym względem dwie zalety: pierwszą, że historyczne przedstawienie dziejów unii jest w krótkiem zebraniu tak dokładne, a tak przytem prawdziwe i wierne, jak tylko być może; drugą, że we wszystkich kontrowersyach, jakie były prowadzone pomiędzy Kościołem katolickim a wschodnim, mało jest takich, któreby prawdy katolickiej dowodziły argumentami tak niezbitymi, tak zwycięzko i tryumfalnie. Teologia katolicka uważa je za jedno z najlepszych dzieł, jakie posiada.

Ze stanowiska świeckiego tylko dwie uwagi. Jedna ta, że Skarga, chcąc Rusinów dla Kościoła pozyskać, nie podchlebia im, nie ustępuje wcale. Ktoby był Unii pragnął i o niej pisał z pobudek świeckich i politycznych tylko, byłby niezawodnie chętnie i łatwo ustępował na wszystkich tych punktach, na których Kościół ustępować mógł i może, byłby gładko przystał na obrządek, na język, na małżeństwo księży: i owszem, to wszystko jedno, byle się rzecz zrobiła! Skarga inaczej. Wprawdzie przyznaje, że to są rzeczy, na których wiara nie zależy, i bez których dobrą być może, ale uważając je za ważne, za potrzebne, wolałby, i z tem się nie tai, żeby Rusini przyjęli obyczaj Kościoła łacińskiego, co do małżeństw i języka, i tłómaczy im powody, dla których zaprowadzony jest celibat i jeden wszędzie niezmienny język liturgiczny.

To, co mówi do Polaków o potrzebie i korzyściach Unji, to jest na słowa i wiersze mało, ale na wagę wiele. „I w rzeczach świeckich państwo to byłoby potężniejsze“, gdybyśmy dawniej byli się o Unję starali.

Wspomniawszy jeszcze *Synod Brzeski* — opis faktu jak się odbył — i *Obronę Synodu Brzeskiego,* w której dowodzi przeciw oszczercom, że Synod prawnie był zebrany, prawnie się odbył, i że co zrobił, było z dobrem nawróconych Rusinów, wyczerpie się ważniejsze jego pisma w sprawie Unii.

Ta i sprawa protestantyzmu, to były dwie sprawy zewnętrzne Kościoła polskiego za jego czasów. Działał on w obudwóch, działał skutecznie z dobrem Rzeczpospolitej, i z dobrem Kościoła, któremu służył. Ale tak Kościół ten, dążący podówczas do poprawy, jak i dobro Rzeczpospolitej, wymagały jeszcze czegoś więcej. Nie dość było przekonywać i nawracać różnowierców, trzeba było jeszcze podnosić katolicyzm przez poprawę katolików. To była wielka sprawa wewnętrzna, którą Kościół prowadzić musiał, na której jemu równie jak Rzeczpospolitej zależało. I to stanowi drugą stronę jednej i jednolitej zawsze czynności Skargi, stronę od tamtej jeszcze świetniejszą.

Na tem polu bowiem działał swoją najpotężniejszą bronią, tą zdolnością prawdziwie wyjątkwową, a tak w nim górującą, że zdeterminowała jego właściwe powołanie, i stała się samą treścią jego życia; mówimy o jego wymowie, o jego zawodzie kaznodziejskim.

Utwierdzać ówczesną Polskę w wierze, podnosić w niej religijnego ducha, nawracać do jedności z Kościołem, to była jedna połowa zadania, która bez drugiej, bez poprawy obyczajów, bez podniesienia moralności i cnoty, zostałaby bezskuteczną i niepłodną. Te dwie rzeczy tak do siebie należące, że jedna bez drugiej zupełną być nie może, jak się nigdy rozdzielić nie dają, tak w działaniu Skargi idą obok siebie, równym krokiem i w równej mierze. Ktoby zaś nawet chciał zaprzeczać, że ówczesna Polska potrzebowała utwierdzenia w wierze, ten przecież nie zaprzeczy, że poprawy obyczajów potrzebowała gwałtownie.

Zaglądając głębiej w historyę XVI wieku, jest się przerażonym doprawdy tem mnóstwem dziwnych nieraz nadużyć i wybryków, jakich się dopuszczał ówczesny Polak, przez zupełną samowolę, przez wyzwolenie się z pod prawa pisanego i karności, dochodzący do zatracenia racyi prawa przyrodzonego, do dzikości, do okrucieństwa. Nie żeby był do gruntu zepsutym, żeby był zatracił wszelką znajomość złego i dobrego, Boga nad sobą i sumienie w sobie, i z tego wszystkiego szydził; zepsucie jego nie było sceptycznem, cynicznem i wyrafinowanem, jak było we Francyi w wieku XVIII, było to zepsucie natur prostych, jeszcze nie dostatecznie cywilizowanych, a przeto potrzebujących tem więcej karności i rygoru, które z pod tego rygoru wyłamane rozhulały się bez upamiętania. Było w tem więcej popędu krwi, jak podszczuwań przewrotnego rozumu; było to coś, jak zepsucie młodzieńca, który robi źle,

bo nie rozumuje, nie zepsucie człowieka dojrzałego, który sobie wyrozumował, że nie ma ani złego, ani dobrego, tylko on sam. Ale działy się rzeczy okropne, oburzające. Kiedy wszyscy pisarze XVI wieku, kaznodzieje, moraliści, poeci, statyści, tak się na to zepsucie skarżą i tak ciągle grożą karą boską, a przemawiają ogólnie tylko, nie przytaczają faktów i nazwisk, możnaby posądzić ich o przesadę, o zbyteczny zapał, o surowość czczą, retoryczną, a nie zupełnie usprawiedliwioną. Tymczasem w skromnych i nieznanych zabytkach tej przeszłości, odsłaniają się ilustracye i przykłady do tego, co tamci mówią ogólnie; każde nadużycie, każde barbarzyństwo, na które się skarżą, legitymuje się, jako rzeczywiste, powagą aktów sądowych, do każdego przypada jakieś nazwisko, jakiś człowiek, jakiś fakt oburzający, straszny. I z tych dokumentów pokazuje się, że dwa były kierunki złego w ówczesnym obyczaju polskim: rozpusta, prowadząca do gwałtu, do dzikości, do barbarzyństwa, i chciwość, prowadząca do nieprawnych zysków, do podstępów sądowych, do nieuczciwości w rzeczach pieniężnych, czyli do rzeczy nieledwie gorszych od barbarzyństwa, bo od przewrotności i podłości.

Trzeba było w społeczeństwo to wszczepić miłość dobrego i wysokie jego pojęcie; trzeba było przejąć je tem poczuciem, że są rzeczy, których się robić nie godzi, przypomnieć mu odpowiedzialność za uczynki, bojaźń Boga, i rzecz drugą: uszanowanie drugiej istoty ludzkiej, jej praw i jej potrzeb, miłość bliźniego. To było zadanie, któremu świeckie głosy i namowy sprostać nie mogły, pracowały nad niem przez wiek cały napróżno; potrzeba było wyższej powagi, upomnienia w imię samego Boga. Takiemi były kazania Skargi, najwyższe, najpiękniejsze ze wszystkich, jakie były powiedziane przed nim i po nim.

Na drodze, którą Skarga do tego celu dążył, spotykamy na wstępie dwa uczynki, jedną książkę i jedną instytucyę pobożną. Książką są *Żywoty Świętych,* instytucyą — *Bractwo Miłosierdzia.*

(D. c. n.).





W sprawie zmiany wyznania prawosławnego.

Od chwili wydania Najwyższego Ukazu o tolerancyi religijnej, który to Ukaz pozwala na przechodzenie z prawosławia na inne wyznania, upłynęło już z górą 6 lat. Mimo to wiele osób nie zna przepisów obowiązujących przy zmianie prawosławia.

Chcąc rozmaite wątpliwości w tym względzie usunąć, p. Fr. Nowodworski w artykule p. t. „Formalności prawne przy zmianie wyznania prawosławnego", wydrukowanym w „Gazecie Warszawskiej", podaje następujące wskazówki praktyczne:

Zmienić wyznanie prawosławne mogą tylko osoby pełnoletnie; z nieletnich zaś dzieci do lat 14, winny być zaliczane do tego samego wyznania, na które przechodzą oboje ich rodzice. Natomiast młodzież w wieku od lat 14 do 21, chociażby chciała, wyznania prawosławnego wyrzec się nie może, aż do czasu dojścia do pełnoletności prawnej (lat 21).

Osoba, pragnąca zmienić wyznanie prawosławne na katolickie, powinna złożyć stosowną deklaracyę w języku rosyjskim, którą dla uniknięcia zwłoki, najlepiej jest przesłać wprost do gubernatora i która brzmieć może, mniej więcej, jak następuje:

„Do Jego Ekscelencyi gubernatora gub. NN. (imię, nazwisko i imię ojca), zamieszkałego we wsi.... gminy.... powiatu.... Oświadczenie (zajawlenje). Korzystając z Ukazu Najwyższego z dnia 17 (30) kwietnia 1905 roku, pragnę być zaliczonym do wyznania rzymsko-katolickiego i zapisanym do tegoż wyznania w księgach ludności. Podając to do wiadomości Waszej Ekscelencyi, upraszam o zakomunikowanie niniejszego mego oświadczenia proboszczowi parafii rzymsko-katolickiej w...... a zarazem o zezwolenie na stosowną o zmianie przeze-

mnie wyznania poprawkę w księdze ludności w...... i we wszelkich moich dokumentach. Jestem pełnoletni (liczę lat.....) i na dowód tego, załączam przy niniejszem wypis mojej metryki“.

Pod tekstem podpis własnoręczny proszącego, a jeśli pisać nie umie, podpis osoby trzeciej, z zaznaczeniem, że się podpisuje za niego niepiśmiennego i na jego osobistą prośbę—w obu wypadkach podpisy winny być poświadczone przez wójta, albo sędziego gminnego, albo rejenta.

Do podania dołączyć trzeba wypis metryki i markę stemplową za kop. 75.

W razie, jeśli wyznanie zmienić chcą mąż i żona, oboje być powinni wymienieni w nagłówku podania, i podpisy obojga mieścić się powinny pod podaniem, którego brzmienie należy wtedy odpowiednio zmienić i do którego należy dołączyć metryki obojga petentów i dwie marki stemplowe po kop. 75 zamiast jednej.

Nakoniec, jeśli wraz z rodzicami mają być zaliczone do wyznania katolickiego i ich dzieci do lat 14, wówczas trzeba nadto dołączyć metrykę tychże dzieci, a rodzice w tekście swojego podania powinni wymienić dokładnie ich imiona i wiek i powinni oświadczyć, że i co do tych dzieci upraszają o stosowne zawiadomienie i poprawkę w księdze ludności.

Interesanci użalają się nieraz na przeszkody, doznawane w wydostaniu z parafii prawosławnej metryk, potrzebnych w powyższym celu. Z uwagi na to należy zaznaczyć, że wypisy aktów stanu cywilnego z lat poprzednich można zawsze otrzymać nietylko z parafii, lecz również i z archiwum tej hypoteki powiatowej, do której dana parafia prawosławna należy.

50-lecie kapłaństwa ks. prałata i oficyała Kluczyńskiego.

W dniu 27 czerwca dyecezya kielecka obchodziła uroczystość pięćdziesięciolecia kapłaństwa ks. Aleksandra Kluczyńskiego, prałata i oficyala.

Ks. prałat Kluczyński, jako długoletni urzędnik konsystorski i wychowawca młodzieży duchownej, w całej dyecezyi jest postacią lubianą i niesłychanie popularna.

Urodził się r. 1837 w Czostkowie, parafii Kozłowskiej, powiatu jędrzejowskiego, w domu obywatelskim. Nauki pobierał w wyższej szkole realnej w Kielcach, po której ukończeniu wstąpił do seminaryum duchownego. Wybitne zdolności umysłowe, pilność w naukach i prawość charakteru młodego lewity zwróciły na niego oczy przełożonych i został wysłany do akademii duchownej w Warszawie, którą

chlubnie ukończył w r. 1863. Wyświęcony na kapłana, po roku spędzonym na wikaryacie w Kurzelowie i w Kielcach, powołany został na profesora seminaryum, gdzie, pełniąc z kolei obowiązki profesora, wiceregensa i regensa, dotychczas pozostaje na tem ostatniem stanowisku. Jednocześnie w konsystorzu przebywał szczeble karyery urzędowej, asesora, sędziego surogata, oficyała. Po śmierci ks. prałata Brudzyńskiego, powołany jednogłośnie przez kapitułę, przez rok rządził dyecezyą.



Ks. prałat Aleksander Kluczyński.

W wilię uroczystości duchowieństwo przybyłe z dyecezyi składało Jubilatowi życzenia i ofiarowało mu bogaty aparat mszalny i strój protonataryusza. Dodać należy, że J. E. ks. Biskup, pragnąc uczcić zasługi Jubilata, zwrócił się do Ojca Św. o udzielenie ks. prałatowi Kluczyńskiemu godności protonotaryusza apostolskiego.

Uroczystość jubileuszowa rozpoczęła się o godzinie 10 rano. Jubilat, po wprowadzeniu procesyonalnem z domu do katedry, otrzymał

oznaki: berło i wieniec jubilacki z rąk Jego Ekscelencyi ks. Biskupa, poczem odprawił Mszę św. i udzielił obecnym błogosławieństwa.

Duchowieństwo, które w znacznej części składa się z uczniów Jubilata, licznie zjechało na tę uroczystość, znaleźli się też i koledzy gimnazyalni i ci, co mieli możność bliżej poznać Jubilata i ocenić jego złote serce.

O przewodnikach kompanii.

Osoby, pragnące prowadzić kompanie pątników z Warszawy do dalszych miejscowości, lub położonych w innej gubernii, winny uzyskać na to pozwolenie władz policyjnych, czyli oberpolicmajstra; przewodnicy prowincyonalni w tym wypadku winni uzyskać takież pozwolenie odpowiedniego gubernatora; jeżeli zaś kompania wyrusza do miejscowości, położonej w tej samej gubernii, lecz w innym powiecie, wówczas są obowiązani wyjednywać pozwolenie od właściwego naczelnika powiatu.

Z Kalisza.

W styczniu roku bieżącego upłynęło 20 lat od dnia założenia chóru śpiewaczego przy kościele św. Mikołaja w Kaliszu. Założony w celu zjednoczenia pojedyńczych członków społeczeństwa polskiego w życiu towarzyskiem, oraz podniesienia chwały Bożej drogą poprawnej muzyki kościelnej, chór uprawia także z zamiłowaniem pieśń rodzimą świecką, biorąc udział w koncertach Towarzystw śpiewaczych i występując z koncertami własnymi. Na konkursie śpiewaczym Towarzystw Muzycznych i chórów kościelnych Ziemi Kaliskiej w dniu 19 czerwca 1910 r. chór ten odznaczonym został pierwszą nagrodą złotą. Obecnie liczy 50 członków czynnych i 60 popierających. Uroczystość jubileuszowa obchodzoną była 17 i 18 czerwca bieżącego roku. Urządzono koncert jubileuszowy w dniu 17 b. m., ze współudziałem zaprzyjaźnionych trzech chórów przy kościele św. Krzyża w Łodzi, a mianowicie mieszanego i męskich polskiego i niemieckiego, oraz miejscowych: chóru Kaliskiego Towarzystwa Muzycznego, chóru przy kościele św. Józefa, a także mieszanego i męskiego chórów przy kościele św. Mikołaja.

Wszystkie wyżej wymienione chóry przyjęły również udział w uroczystości Bożego Ciała na procesyi w dniu 18 czerwca r. b.

Żydzi na wsi.

Faktem jest dowiedzionym, pisze ks. prałat A. Brykczyński, że jedną z głównych przyczyn upadku Polski było sprowadzenie Żydów. Oni bowiem, zagarniając zwolna w swe ręce cały handel, spowodowali

upadek kupców polskich, czyli tak zwanego stanu trzeciego, który jest główną materyalną siłą państw nowożytnych.

Już ta sama okoliczność powinnaby być aż nadto dostateczną dla każdego dobrego Polaka, aby się Żydów strzegł i przed ich ujemnym wpływem bronił.

Ale, jeżeli wogóle wszędzie u nas wpływ Żydów był, jest i będzie zawsze szkodliwym, to na wsiach jest on poprostu klęską, zarówno moralną, jak materyalną.

Dom Żyda na wsi — to dom gry, to miejsce narady złodziejów i pokątnych doradców, to skład rzeczy kradzionych i biuro stręczeń żywego towaru.

A to wszystko, co piszę, nie jest wytworem fantazyi, lub niechęci do tak pięknie niegdyś nazywanych „braci Polaków wyznania mojżeszowego“, ale takie mieszkania żydowskie mam w obecnej parafii, jak tego świadkami dowieść mogę.

W poprzedniej zaś swojej parafii widziałem i słyszałem, co następuje:

Ogród mój był przy gościńcu, a po drugiej stronie stała chata włościańska. Patrzę, zajeżdża Żyd szmaciarz, i z siedmioletnią dziewczynką, która wyszła na jego spotkanie, zawiązuje się rozmowa.

— Tato jest?

— Niema.

— A mama jest?

— Niema.

— Jaka szkoda, bo możeby dali mojemu głodnemu koniowi owsa. Ale kiedy ich niema, to ty mu daj.

— Ja tam waszemu koniowi owsa dawać nie bandę — odrzekła dziewczynka i chciała odejść. — Żyd, widząc, że mu się sztuczka nie uda, wyciągnął z pośrodka szmat małe lusterko, w czerwony papier oprawne, i pokazując je dziecku, powiedział: dam ci to lusterko, jak dostanę owsa. Dziewczyna owies przyniosła.

Tem są Żydzi na wsi.

Otóż wpływ ich zgubny na włościan przewidział prawodawca i dlatego nietylko zabronił im sprzedawania gruntów Żydom, ale zabronił tym ostatnim zamieszkiwania na gruncie włościan.

Mimo to, Żydzi na gruntach włościańskich mieszkają, jedynie przez ich niezaradność. Ile razy bowiem włościanie udadzą się do komisarzy o usunięcie Żydów, zawsze sprawę wygrają.

Oto dowód. W Piotrkowie zjazd sędziów rozwiązał apelacyę 16 Żydów, których kazał wydalić komisarz z gruntów włościańskich. Zjazd apelacyę odrzucił i Żydom w 2 miesiące polecił się usunąć.

W tym samym sądzie rozważano proces Moszka Habermana ze wsi Jaszczów, którego komisarz włościański chciał wydalić z tej wsi, w której Żyd ma dom własny. Zjazd kazał mu się wyprowadzić w ciągu miesiąca.

A więc proszę i zaklinam was, bracia włościanie — kończy ks. prałat A. Brykczyński, na miłość świętej Wiary naszej rzymsko-katolickiej, na miłość tej ukochanej polskiej ziemi, którą własnym potem uprawiacie, proście pp. komisarzy o usunięcie Żydów, bo inaczej, co nie daj Boże, oni potomków waszych z niej usuną.

Takie usuwanie Polaków przez Żydów, odbywa się już na wielką skalę — w Galicyi. Corocznie około 2,000 gospodarstw chłopskich przechodzi w ręce żydowskie; co rok 600,000 Polaków z nędzy, której przyczyną są głównie Żydzi, emigruje z kraju, poszukując kawałka chleba w Niemczech, we Francyi, lub Brazylii.

A we wsi polskiej, zamiast rdzennego mieszkańca, chłopa polskiego, gospodaruje *obcy* przybysz, wróg Krzyża i Narodu — Żyd.

Sensacyjna sprawa.

Na kolei środkowo-azyatyckiej, w pobliżu Aschabadu, dokonano przed dwoma mniej więcej laty czelnego napadu na pociąg, przyczem z wagonu pocztowego zrabowano około pół miliona rubli. W jesieni roku zeszłego w jednym z banków w Rostowie nad Donem aresztowano b. naczelnika powiatu ozurgeckiego, kapitana Jermołowa, w chwili, gdy zmienić chciał 75 tysięcy rubli w biletach kredytowych z numerami takimi, jakie miały być skradzione w czasie napadu na pociąg.

W czasie rewizyi, dokonanej w mieszkaniu Jermołowa, znaleziono pokwitowanie na sumę 30 tysięcy rubli, które doręczone być miały braciom Teofilowi i Siemionowi Otchmesuri. Na pokwitowaniu znajdował się nadto podpis porucznika Jerzego Otchmesuri, który służył w jednym z pułków, stojących załogą w Tyflisie. Porucznik ten był bratem wymienionych w pokwitowaniu Otchmesurich, których policya tyfliska od 2 lat już poszukuje w sprawie napadu na pociąg. Porucznik nie zaprzeczył, że podpis jest jego, bliższych jednak wyjaśnień udzielić nie chciał. Wydalono go z wojska, aresztowano, i wraz z Jermołowem osadzono w więzieniu aschabadzkiem, gdzie siedzi 10 już współoskarżonych o napad na pociąg pad Aschabadem. Kapitan Jermołow oskarżony jest o udział w napadzie i ukrywanie przestępstwa, porucznik Otchmesuri o ukrywanie.

„Petersb. Ztng.“, za którą podajemy wiadomość powyższą, przypomina przy tej sposobności pewien szczegół charakterystyczny: Kapitan Jermolow jest ową osobą, która współpracownikowi „Now.

Wrem.", Mieńszikowowi, w swoim czasie dostarczyła materyałów do napisania gwałtownego artykułu p. t. „Kaukaz się rozpada". On również dostarczył materyałów Puryszkiewiczowi do ciężkich oskarżeń, z któremi poseł besarabski przed dwoma laty wystąpił w Dumie przeciwko namiestnikowi Kaukazu i pomocnikowi jego. Jermołow z Kaukazu przeniósł się do Odesy, gdzie go gen. Tołmaczew zrobił zaraz policmajstrem. Wkrótce jednak usunięty został na żądanie namiestnika, który mu wytoczył cały szereg spraw sądowych o wymuszanie i sprzeniewierzenie.

I niewiele brakło — kończy dziennik petersburski — a przywódca bandytów byłby obalił namiestnika Kaukazu.

Z Omska.

Bieżący rok dał Omskowi jeszcze jedno katolickie towarzystwo— filię petersburskiego T-wa ubezpieczeń wzajemnych na wypadek śmierci. Pozwolenia wszelkie otrzymano, zarząd obrany i pieniądze wpływają. Po za celem wyżej wymienionym T-wo zamierza zakładać szpitale, przytułki i t. p. W ten sposób będziemy mieli dwa katolickie towarzystwa, wiodące żywot suchotniczy; Tow. Dobroczynności ledwo może utrzymać istniejące zakłady: szkółkę, przytułek dla starców i bibliotekę. To wszystko utrzymuje się z balów i festynów polskich. Z wydatków największe są: utrzymanie szkółki 1,104 rb. i przytułku 960 rb.

Szkoła 4-klasowa w tym roku miała 100 uczniów obu płci i 3 nauczycielki. I ogólne wykształcenie, i ogłada, a głównie znajomość języka polskiego, poczyniły w tym roku ogromne postępy. Najbardziej upośledzona jest biblioteka, której Towarzystwo wcale nie popiera, ograniczając się do jednorazowej zapomogi 100 rb. przez cały czas jej istnienia.

Wieść o urządzeniu stolicy biskupiej w Omsku poruszyła cokolwiek katolików, ale nikt nie wierzy, aby się mogło urzeczywistnić w najbliższej przyszłości.

Wkrótce nastąpi otwarcie wystawy rolniczo-przemysłowej w Syberyi. Dziś budynki są już ukończone i znaczna część eksponatów przywieziona. Wystawa zapowiada się doskonale i zasługuje na zwiedzenie, choćby dla samego obznajmienia się z Syberyą.

Rozwój katolicyzmu w Syberyi.

Ostatnie dziesięć lat zmieniły nie do poznania granice dawnych parafij syberyjskich. Niegdyś tomski proboszcz sam obsługiwał całą olbrzymią tomską gubernię. Wówczas w całej Syberyi były 3 kościoły tylko. Dzisiaj w tym kraju zamieszkało dużo katolików pochodzenia

litewskiego, łotewskiego, a w mniejszej ilości polskiego i niemieckiego; przeważnie to lud pracujący fizycznie: koloniści, rzemieślnicy, drobni kupcy i przemysłowcy. Sprawy narodowościowe, nawet mowa ojczysta jest im obojętna stosunkowo, wynaradawianie się wśród nich postępuje szybko, jedynie tylko do swej religii czują silne przywiązanie, a dla księdza i kościoła niezmierny szacunek. Ci ludzie na szkołę nie dadzą grosza, podczas gdy na kościół łatwo i szybko zbierają poważne sumy. Teraz w każdem prawie mieście wzdłuż kolei są kaplice, a często i księża. Kapitalne kościoły posiadają miasta: Tomsk, Irkuck, Krasnojarsk, Nowonikołajewsk, Tobolsk, a mniejsze, drewniane kościołki mamy w Kurganie, Petropawłowsku, Kainsku, Barnaule, Aczyńsku i jeszcze kilku miastach.

Parafianie tych mniejszych miast — to najczęściej lud roboczy, duża ilość żołnierzy, pochodzących z Królestwa, a inteligencyi prawie niema wśród nich.

Wyższe władze duchowne — pisze „Dzien. Petersb.“ — powinnyby skłaniać Polaków do objęcia ważniejszych probostw w Syberyi, a ci powinniby znaleźć trochę poświęcenia na spędzenie w tym kraju chociaż paru lat.

Kolonja polska w Barnaule.

Kolonia polska, dość liczna w mieście Barnauł, zdobyła się na postawienie murowanego kościołka. Skromniutki ten budynek w gotyckim stylu, wewnątrz wcale jeszcze nie wykończony, postawiono obok lasku sosnowego na krańcu miasta, tak iż stanowi on ostatni dom ulicy, przez którą się wjeżdża do miasta od strony Tomska. Ks. Szylenis przeszło rok już mieszka tutaj, pracuje nad zjednoczeniem kolonii, formuje biblioteczkę, krzewi oświatę — dostarczając biedniejszym elementarzy, katechizmów i t. d. Pozatem musi obsługiwać swą ogromną parafię, do której wchodzą miasta Kuźnieck i Siemipałatińsk, odległe o 300 i 500 wiorst.

Nabożeństwo dawniej odbywało się w mieszkaniu wynajętem. Dziś zbudowano ubogą plebanię i w niej zbierają się na modlitwę.

Oprócz Polaków jest dużo Niemców. Nic dziwnego, że poza kościołem nic ich nie łączy, że małe tylko kółeczka żyją bliżej ze sobą.

W sąsiednich górach Ałtaju jest sporo Polaków, którzy się przesiedlili tutaj w ostatnich kilku dziesiątkach lat; również są potomkowie zesłańców z r. 31 i 63, którzy dzisiaj ledwie pamiętają o swem pochodzeniu, a nawet w znacznej części wynarodowili się. Mieszkają rozproszeni małemi grupami po całym Ałtaju.

Pod Ałtajem, zwartą masą w kilku większych wioskach miesz-

kają włościanie Polakami zwani przez otoczenie. Noszą oni odmienne, a ozdobne stroje, suto haftowane, ze szlakami kolorowemi i naszyciem złotem i srebrnem. Kobiety noszą mnóstwo paciorków, a na głowie wiążą chustki na wzór polskich włościanek. Są to potomkowie sektantów rosyjskich, podobno niegdyś zamieszkałych obok Polski, a później zesłanych tutaj za swe wyznanie. Zamieszkują oni ten kraj od lat 160 i dziś już uznają większość obrządków cerkwi prawosławnej.

Pismo niemieckie w języku polskim.

Na Górnym Śląsku powstać ma, jak się dowiaduje katowicka „Gazeta Ludowa“, nowe pismo centrowe w języku polskim. Na czele tego przedsiębiorstwa stanął znany poseł centrowy, ks. Glowatzki, który rozesłał już do dziekanów okólnik, zachęcający duchownych, aby wstąpili jako członkowie do mającej się utworzyć spółki wydawniczej i złożyli pieniądze na fundusz gwarancyjny. Ks. Glowatzki uzasadnia potrzebę takiego pisma „rzekomą hecą gazet polskich przeciwko centrum i duchowieństwu“.

Ze Lwowa.

Akcya germanizatorska i syonistyczna w Galicyi jest sprawą pierwszorzędnej wagi.

Niemczyźnie w Galicyi przybyło do pomocy, stworzone oczywiście za pruskie marki „Niemieckie Towarzystwo rolnicze“, które ni mniej ni więcej, tylko żąda od wydziału krajowego równorzędnych przywilejów z organizacyami polskiemi i ruskiemi. Jak wiadomo, Sejm asygnował znaczniejszą sumę na hodowlę bydła polskiego i ruskiego; niemiaszki domagają się podziału tej sumy i na trzecią część, stosownie do wypracowanego przezeń memoryału.

Zachciankom oczywiście nigdy granic niema, lecz jest wprost bezczelna zachłanność krzyżacka, nie rzeczywista potrzeba, bronienia tej garstki kolonistów niemieckich, którym się w Galicyi znacznie lepiej powodzi, niż ich braciom w vaterlandzie.

W tej sprawie obradował specyalny zjazd, prasa poinformowała o uchwałach i na tem się skończyło. Jak na nasze ciężkie czasy, to tego rodzaju lekceważenie, czy opieszałość, jest wprost niezrozumiała. Nie czynimy nic, nie tylko zbiorowo, ale nawet w życiu codziennem nie rozróżniamy źródła produktów, nie pytamy o producenta, zadawalamy się w ostateczności zapewnieniem: „wyrób krajowy“ lub produkt krajowy. A przecież roi się wszędzie od niemieckich napisów, od handlujących kolonistów, przybywających do miast na targi i t. d.

Drugi front na linii bojowej w jeszcze większem uśpieniu pogrążony. Od dziesięciu lat istnieje we Lwowie uniwersytet ludowy żydowski, który z biegiem czasu stał się placówką nie tylko oświatową, lecz i polityczną w rękach galicyjskich syonistów. O tem szerzeniu się wpływów, o zjednywaniu sobie mas żydowskich, podobno u nas wiedziano, nie zdawano tylko sobie sprawy z doniosłości akcyi, której nikt tam żadnych nie stawiał. Wezbrana fala separatyzmu żydowskiego zwróciła oczy naszego ogółu dopiero wtedy, gdy syoniści urządzili galicyjski zjazd żydowski.

Zjazd ten dosadnie dowiódł, że separatyzm żydowski zatoczył szerokie kręgi. „Precz z asymilacyą, kształćmy masy w duchu żydowskim“ — oto hasło, pod którem obradowali delegaci z całej Galicyi, upstrzonej siecią stowarzyszonych kół i związków oświatowych — syońskich.

Restauracya wieży Maryackiej w Krakowie.

Wydział krajowy nadesłał na ręce prezydenta miasta kwotę 49,000 koron, jako ratę subwencyjną na restauracyę wieży kościoła N. Maryi Panny za czas od 1905 — 1911 r. Restauracya wieży rozpocznie się w najkrótszym czasie.

Dreadnought austryacki.

Niedawno odbył się tak nazwany chrzest i spuszczanie na morze pierwszego dreadnoughta austro-węgierskiego „Viribus unitis“, w dokach San Marco w Tryeście, będących własnością przedsiębiorstwa „Stabilimento Technico“. W zastępstwie cesarza przybył na tę uroczystość arcyks. Franciszek Ferdynand, matką chrzestną była arcyks. Marya Anuncyata. Plany olbrzyma morskiego wypracował b. generalny budowniczy okrętowy Zygfryd Popper, budową kierował budowniczy okrętowy Teodor Novotny, mając do pomocy inżynierów Juliusza Scharberta i Jana Schlesingera.

Okręt wojenny „Viribus unitis“ zbudowany jest według najnowszych zasad budownictwa morskiego. Materyał stalowy i żelazny, użyty do budowy, pochodzi w części z Austryi, w części z Węgier. Tułów okrętu, zbudowany ze stali Siemens-Martin, ma 150 metrów długości, 27 metrów szerokości i 82 m. średniego zagłębienia. Pojemność wynosi nieco więcej, niż 20,000 ton. Ażeby okrętowi zapewnić możność pływania nawet na wypadek silnego uszkodzenia dolnych części, spód okrętu wzdłuż równie jak wszerz jest przedzielony przez liczne szczelne komory. W razie uszkodzenia ściany okrętu, woda może dostać się do jednej komory, a w najgorszym razie do dwóch, w razie, gdy pocisk

trafi w granicę komór — ale pancernik mimo to zdolny jest do ruchu. Wszystkie ważniejsze części okrętu są opancerzone. Same pancerze ważą około 4,500 ton.

Dwa wysokie, smukłe kominy zwyczajne, tudzież dwa kominy z rur stalowych dopełniają zewnętrznego obrazu okrętu. Maszty służą tylko do sygnałów i do radiotelegrafii. Na przednim maszcie, na wysokości 30 m. znajduje się zabezpieczona od strzałów stacya spostrzegawcza z 2-ma stanowiskami do mierzenia odległości. Dodać należy, że okręt posiada sieci, chroniące od torped.

Trzy maszyny turbinowe o sile 25,000 koni dają okrętowi szybkość 21—22 mil morskich na godzinę. Zapas paliwa obejmuje 2,000 ton węgla prasowanego, t. j. brykietów i daje okrętowi t. zw. promień działania na 2,000 mil morskich.

Centrala elektryczna ma 4 turbodynamo po 300 kilowatów, tudzież jedną dynamo Diesla o 75 kilowatach, co daje w całości 1,275,000 watów energii. Ta centrala obsługuje telegraf iskrowy, wszystkie mechanizmy ruchu, ciężkie działa, windy ciężarowe i osobowe, sterylizatory, kompresory i wentylatory, oświetlenie wewnętrzne, a wreszcie ogrzewanie kabin mieszkalnych. Projektory w liczbie 11 mają siłę 35,000 świec. Okręt ma piekarnię, chłodnię dla mięsa, lodownię, łazienkę i pralnię.

Załogę tworzą: kapitan okrętu liniowego, jako komendant, kapitan korwety, jako pomocnik, 24-ch poruczników okrętowych i fregatowych, 12-tu urzędników marynarki i maszynowych, 2-ch urzędników administracyi, wreszcie 920-tu ludzi do służb specyalnych.

Na wolnym pokładzie górnym są umieszczone 4 wieże potrójne.

Na uzbrojenie okrętu składają się następujące działa: 12 dział 30,4 centymetrowych w czterech wieżach potrójnych — 12 dział 15 centymetrowych i 18 dział 8-centymetrowych o 50 długościach kalibrowych, jedne i drugie szybkostrzelne — dwie 47-milimetrowe mitraliezy o 45 kalibrowych długościach i 2 mitraliezy 8-milimetrowe. Prócz tego są dwa działa lądowe 7-centymetrowe na lawetach kołowych, służące przy wypadkach lądowania.

Dwie zewnętrzne wieże mają wysokość strzału 8 metrów, dwie środkowe około 14-tu metrów. Skutkiem tego wieże środkowe mogą strzelać ponad wieżami zewnętrznemi. Dalej 6 dział ciężkiego kalibru— a więc połowa może na przemian strzelać — raz sześć, potem drugi raz sześć innych — w kierunku jazdy okrętu, zaś wszystkie 12 dział w kierunku szerokości okrętu.

Ciekawy dokument.

Przytaczamy charakterystyczny dokument, ilustrujący stosunek władz pruskich do narodowości polskiej w Poznańskiem.

Chodziło o uzyskanie pozwolenia na urządzenie zabawy publicznej jednego z Towarzystw polskich.

Na pierwsze podanie komitet, urządzający zabawę, otrzymał od wójta następującą odpowiedź:

„Stowarzyszenie polskie, którego nazwa w pańskiem podaniu jest nieczytelna, nie jest znane w tutejszym urzędzie. Proszę więc, aby, zanim udzielę pozwolenia, zakomunikowano mi, do jakiej narodowości zaliczają się członkowie Stowarzyszenia".

Na drugie podanie nadeszła taka odpowiedź:

„Wprawdzie doniósł mi przewodniczący obwodu dworskiego (Gutsvorstand), że członkowie pańskiego Stowarzyszenia zaliczają się do *polskiej narodowości*, zdaje się to jednak polegać na nieporozumieniu, ponieważ od r. 1795 nie istnieje już państwo polskie, przeto istnieć także nie może *naród polski*. Ponieważ jednak dowiedziałem się z innej strony, że członkowie Stowarzyszenia są osiadłymi w majątku X. X. Niemcami, którzy kiedy niekiedy posługują się językiem polskim, przeto nie waham się udzielić pozwolenia na odbycie zebrania.

W interesie jednak pańskiego Stowarzyszenia polecałoby się działać w tym kierunku, aby nie mieszano języka z narodowością.

Podpis wójta".

Nie potrzebujemy chyba dodawać słowa do tego dokumentu kultury pruskiej. On sam jest wymowniejszy od wszelkich komentarzy.

Zajścia w Śremie.

Burmistrz Schorstein, którego niedawno wybrano znowu na przeciąg lat 12, zagroził, że zakaże procesyj w Boże Ciało. Wobec tego proboszcz Surzyński zwrócił się w tej sprawie osobiście wprost do ministeryum. Procesya odbyła się, jak zwykle, ale po raz pierwszy bez udziału strzelców, którzy od czasów króla Jana Kazimierza w 17-ym wieku, zawsze asystowali z bronią i utrzymywali porządek.

W Śremie krąży pogłoska, że hakatyści zamierzają usunąć figurę Matki Boskiej, która od niepamiętnych czasów stoi w zachodnio-północnym narożniku rynku.

Z powodu wydania odezwy bojkotowej prokuratorya urządziła rewizyę w redakcyi i drukarni kościańskiej „Gazety Polskiej". Nie stwierdzono jednak nic podejrzanego.

Jubileusz komisyi kolonizacyjnej w Prusach.

Minęło 25 lat dnia 26 kwietnia od czasu, jak ogłoszoną została ustawa komisyi kolonizacyjnej w Prusach. Zadaniem tej komisyi jest, jak wiadomo, wykupywać za pieniądze państwowe, złożone także przez Polaków, ziemię w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, osobliwie od Polaków, i osiedlać na niej kolonistów Niemców. — Smutny to jubileusz dla sławetnej „kultury“ i „cywilizacyi“ w państwie pruskiem!

Prałat przed sądem wojskowym.

Sąd wojskowy 16 dywizyi armii niemieckiej, zasiadający w Trewirze, rozstrzygnął ciekawą sprawę. Przed 24 laty kelner Woerth nie stanął do służby wojskowej, za co sąd krajowy skazał go w r. 1888 zaocznie na 160 marek kary, a władze wojskowe poszukiwały go jako dezertera. Tymczasem Woerth udał się do Rzymu, tam porzucił zawód kelnerski, wstąpił do seminaryum, otrzymał święcenia kapłańskie, oddał się studyom teologicznym i w końcu otrzymał tytuł prałata domowego, oraz tajnego podkomorzego dworu papieskiego.

Obecnie prałat zgłosił się sam do sądu wojskowego w Trewirze, aby, jak oświadczył, odpokutować za błąd młodości. Sąd skazał go na karę najlżejszą, mianowicie pół roku więzienia, oraz zgodnie z wymaganiami formalistyki wojskowej, na zaliczenie do żołnierzy drugiej kategoryi.

Za język polski.

Dzienniki poznańskie donoszą, iż sąd w Essen skazał członków zarządu tamtejszego polskiego Towarzystwa „Oświata“ na kary, od 10 — 30 marek, za rzekomo bezprawne używanie języka polskiego na dwóch zgromadzeniach, które sąd uznał za publiczne.

Drażliwość hakatystów.

W hakatystycznej „Tägliche Rundschau“ pewien Niemiec z Węgier oburza się na to, że władza węgierska zabroniła mu wywieszać chorągiew niemiecką, powołując się na rozporządzenie, iż tylko w węgierskich barwach wolno sztandary i inne oznaki na widok publiczny wystawiać. Ów Niemiec nie pojmuje tego i powiada, że w innym cywilizowanym kraju byłoby to niemożliwe. — Szkoda, że ten pan, jak się zdaje, zupełnie nie zna stosunków u nas. Przekonałby się, że właśnie policya pruska ściąga wszystkie chorągwie i oznaki, o ile nie są w barwach pruskich. Zupełnie bowiem to samo rozporządzenie, co na Węgrzech, istnieje w „cywilizowanych“ Prusach, tylko, że w Prusach jeszcze wiele ostrzej w tej sprawie postępują, niż na Węgrzech.

Wizyta księcia Saskiego.

Ksiądz Maksymilian książę Saski niedawno bawił w Przemyślu u ks. biskupa Czechowicza, oraz składał wizyty obu biskupom polskim: ks. Pelczarowi i ks. Fiszerowi, tudzież członkom obu kapituł. W niedzielę, po odprawieniu Mszy św. w przemyskiej katedrze łacińskiej, był na sumie w katedrze ruskiej, poczem odbył się na cześć gościa obiad u ks. biskupa Czechowicza, w którym wzięli udział obaj biskupi polscy i kanonicy obu kapituł. Wieczorem odjechał ks. Maksymilian do Wiednia.

Kanonicy niemieccy a procesye polskie.

Przy tegorocznej wielkiej procesyi Bożego Ciała w Poznaniu, w którym bierze z tradycyi udział wszystek lud katolicki z Poznania i okolicy, a także duchowieństwo z dalszych stron W. Ks. Poznańskiego, zauważono powszechnie nieobecność znacznej liczby kanoników poznańskich, wśród których, jak wiadomo, znajduje się sporo Niemców.

Okazało się, że kanonicy niemieccy uznali za niestosowne uczestniczyć w procesyi, która z charakterem kościelnym łączy charakter narodowo polski.

„Dziennik berliński“ wzywa do poczynienia kroków odpowiednich u Stolicy Apostolskiej, aby położyła kres powoływaniu do kapituł w Poznaniu i Gnieźnie kanoników, którzy, otrzymując swe uposażenie od społeczeństwa polskiego i zobowiązani do działania wśród ludności polskiej, odsuwają się manifestacyjnie od wielkich tradycyjnych obchodów kościelnych, gdy mają charakter polski. Abstynencya ta wywołuje powszechne zgorszenie wśród ludu polskiego. Nietylko interes polski, ale i interes Kościoła wymaga, aby nie narzucano mu dostojników obcych ludowi i wrogo dla niego usposobionych.

W sprawie szkolnej.

„Kuryer Poznański“ podał doniosłą uchwałę odbytego w Warszawie zjazdu stronnictwa demokratyczno-narodowego tej treści:

Zjazd uznaje, że stosunki, jakie się wytworzyły w sprawie szkolnej w Królestwie, są nienormalne i szkodliwe, i uważa za konieczne dążyć do ich uzdrowotnienia o tyle przynajmniej, o ile to od społeczeństwa polskiego zależy.

W tym celu zjazd uchwala następujące zasady, które odtąd wszystkich członków stronnictwa mają obowiązywać:

a) Jakkolwiek ustrój wyższych szkół rządowych w kraju, w szczególności uniwersytetu i politechniki warszawskiej, nie odpowiada potrzebom społeczeństwa polskiego, a poziom ich naukowy jest

bardzo nizki, co skłaniać powinno młodzież polską do zdobywania wykształcenia wyższego za kordonem i zagranicą — to jednak nie należy stawiać przeszkód tej części młodzieży, która dla braku środków lub z innych względów zmuszona jest odbywać studya wyższe w kraju, Zjazd bowiem uważa to ze względów narodowych za korzystniejsze od wyjazdu na wyższe studya do Rosyi.

b) Szkoła średnia polska, pomimo ciężkich warunków, w jakich ją przepisy i polityka rządu postawiła, w ciągu swego sześcioletniego istnienia stanęła na wysokości dzisiejszych wymagań wychowawczych cywilizowanego społeczeństwa. Stwierdziła ona, że tylko szkoła ojczysta może prowadzić z pożytkiem dzieło wychowania młodych pokoleń. Zjazd też uznaje, że rodzice polscy, pojmujący należycie swe obowiązki, w tej tylko polskiej szkole kształcić swe dzieci powinni, a młodzież polska dopiero po otrzymaniu matur polskich może się starać o matury rządowe, o ile ich potrzebuje. Niemniej przeto ta część młodzieży, która z tych lub innych przyczyn pobiera naukę w szkołach średnich rządowych, winna być postawiona w warunkach, w którychby wpływ otoczenia polskiego oddziaływał na nią jaknajkorzystniej, zmniejszając te szkody, jakie dla niej wynikają z kształcenia się w szkole obcej.

c) Prześladowanie lub usuwanie od obcowania towarzyskiego młodzieży polskiej z racyi uczęszczania jej do szkół rządowych, wyższych czy średnich. Zjazd poczytuje za szkodliwe ze względów narodowych i uważa za niedopuszczalne, ażeby członkowie stronnictwa akcyę tego rodzaju w jakikolwiek sposób popierali.

d) Zjazd wzywa przedstawicielstwo polskie w Izbach prawodawczych do podjęcia akcyi ku podniesieniu poziomu naukowego wyższych uczelni w Królestwie, ku usunięciu z nich polityki, w szczególności zaś tkwiącego w samym ustroju szkół i praktykowanego przez władze szkolne bojkotu nauki polskiej, oraz ku pozyskaniu dla polskiej szkoły średniej trwałych podstaw prawnych, zapewniających jej większą swobodę pracy i zabezpieczających ją od dezorganizacyi ze strony władz rządowych.

Sprawa odstępcy.

Uwagę Rzymu, Włoch i znacznej części świata całego przykuwał niedawno proces byłego księdza Verdesi, pociągniętego do odpowiedzialności karnej przez ojca jezuitę Bricarelli przed sądy świeckie, państwowe włoskie.

To cała historya.

Verdesi był osobistością wybitną w sferach duchownych Rzymu, budził nadzieje, zajmował stanowiska, wymagające dużego zaufania.

Nagle, bez żadnej głośnej, ani widomej przyczyny, rzucił suknie kapłańskie i wstąpił do protestanckiej sekty metodystów.

Dużo o tym wypadku mówiono, domyślano się tego i owego. Przedewszystkiem zaś posądzano młodego księdza, iż kierowała nim urażona ambicya — odmówiono mu jakiejś wyższej posady.

Po wyświetlenie prawdy udał się do Verdesi'ego reporter dziennika medyolańskiego „Secolo". I usłyszał okropność następującą:

Jako ksiądz katolicki, Verdesi spowiadał się zwykle u ojca Bricarelli. Pewnego razu przy konfesyonale, opowiedział spowiednikowi o jakichś machinacyach księży modernistów. Jezuita udał się natychmiast do Papieża i, gwałcąc tajemnicę spowiedzi, wszystko powtórzył. Pius X-ty nakazał Verdesi'emu przez Bricarellego wymienić nazwiska buntujących się księży i odstępców. Verdesi wobec tego musiał z Kościoła katolickiego uciec.

O. Bricarelli opowieści tej zaprzeczył stanowczo. A kiedy nalegania nie pomogły, i Verdesi słów swoich cofnąć nie chciał, o. Bricarelli wystąpił ze skargą o potwarz.

Już sam ten wypadek wywołał duże wrażenie.

Ojciec Bricarelli, jezuita, wniósł skargę do sądów świeckich, państwowych, i od nich zażądał orzeczenia, czy spełnioną została świętokradcza zbrodnia zdradzenia tajemnicy spowiedzi. Rzecz prosta, iż o. Bricarelli, nie mógłby uczynić kroku podobnego bez pozwolenia swej władzy i bez wiedzy, oraz zgody samego Papieża. Wiadomo zaś, jaki jest stosunek Watykanu do rządu włoskiego i do wszelkich instytucyi państwowych w Rzymie.

A więc w podaniu skargi przez o. Bricarellego tkwiło niejako uznanie i zaufanie do sądownictwa królewskiego — rzecz, robiąca w Rzymie wrażenie wielkie. Przytem ojcowie jezuici dotychczas stali na samym krańcu żywiołów nieprzejednanych w Watykanie. Gorliwie podtrzymywali nieuznawanie władzy królewskiej.

Mówiono nawet, że Pius X nietylko pozwolił, ale sam żądał tego procesu, i takiego właśnie procesu.

To też w dniu sprawy sala sądowa była nabita nietylko rozciekawioną, ale i wzruszoną publicznością.

Verdesi powtórzył swoją opowieść i dodał, że wskutek nacisku ze strony spowiednika i władzy duchownej złożył w swoim czasie piśmienne oskarżenie na księży modernistów.

O. Bricarelli przedstawił sprawę w całkiem innem świetle. Całe zajście odbyło się w 1908 roku, taką też datę nosi relacya Verdesi'ego o modernistach, tymczasem o. Bricarelli przestał być spowiednikiem Verdesi'ego już w 1907 roku.

Istotnie Verdesi opowiedział jemu, Bricarellemu, co się dzieje na posiedzeniach księży modernistów — sam Verdesi chodził na nie — ale to była rozmowa całkiem prywatna, podczas której eks-ksiądz siedział sobie na stole, co wyklucza całkowicie możliwość odbywania spowiedzi. W relacyach Verdesi'ego mowa była wcale nie o jakimś liberalizmie poglądów modernistycznych, ale o machinacyach antireligijnych i antikościelnych, o działaniu na szkodę katolicyzmu, a wreszcie o zaprzeczaniu najbardziej podstawowym dogmatom chrześcijaństwa.

O. jezuita uważał sobie wobec tego za prawo i obowiązek zawiadomienia o tem Głowy Kościoła. Ale przytem nie wymienił żadnych nazwisk, nie powiedział, od kogo wie, pytał tylko o instrukcye, co w tym wypadku robić należy. Papież powiedział, że jak żołnierz obowiązany jest wskazać zdrajców, szkodzących całości ojczyzny, tak samo i ksiądz powinien przyczynić się do wykrycia odstępców, grożących bezpieczeństwu Kościoła.

Powiadomiony o tem Verdesi, ułożył oskarżenie. Oryginał tego dokumentu z podpisem Verdesi'ego złożono w sądzie.

Verdesi donosił (w 1908 r.), że co piątek zgromadzali się wybitni księża, współpracownicy ukryci i jawni modernistycznego miesięcznika „Nova et Vetera", profesor seminaryum Bonajuti, Mario Rossi, Turchi (były prof. Propagandy) i t. d. Wśród nich bywał też czasem jakiś duchowny prawosławny, zdaje się Verdesi'emu, że Rusin.

Na zgromadzeniach tych zaprzeczano osobowości Boga. Śmiano się z dogmatu nieomylności Papieża. Nie uznawano boskości Jezusa Chrystusa, *a nawet dopuszczono się względem niego wyrażeń szyderczych i obelżywych.*

Nie dość na tem, wszyscy uczestnicy zebrań — księża — nie taili, że w kościele pozostawali do czasu tylko i radzili nad sposobami burzenia wiary w sercach i szkodzeniu Kościołowi.

Gdy dokument ten odczytano, Verdesi zbladł — zrozumiał, że sprawa jego przegrana i w sądzie i wobec opinii.

W sprawie tej zgodzili się świadczyć najwybitniejsi kardynałowie.

Wobec ujawnionych faktów, stało się rzeczą jasną, dlaczego Watykan chciał procesu — głośnego w sądzie świeckim, niepodejrzanym o stronność jakąkolwiek.

Pewna wysoka osoba duchowna oświadczyła współpracownikowi „Gazette de Lausanne":

„Ileż to razy w ciągu lat ostatnich w prasie katolickilej i protestanckiej oskarżano Piusa X-go o zbytnią surowość i o przesadę nieprzejednaną w używaniu środków przeciwko modernistom? Żartowa-

no sobie, że Papież upatruje wszędzie i we wszystkiem modernizm. Bo Watykan wiedział doskonale o rzeczach, ukrytych przed oczami szerokiej publiczności. Doniesienie Verdesi'ego jest wypadkiem opatrznościowym — odsłania prawdę. Ono przekonywa, że Papież widział w całej rozciągłości i w całej grozie niebezpieczeństwo, grożące katolicyzmowi. Wielu wprawiła w zdumienie okoliczność, że w samym Rzymie, księża, zajmujący wysokie stanowiska urzędowe, radzili na zebraniach tajemnych, nad burzeniem w duszach nietylko wierzeń katolickich, ale najbardziej nawet podstawowych dogmatów chrześcijańskich. Usiłując wszystkimi środkami dyscyplinarnymi, jakimi rozporządza, powstrzymać działalność modernistów, Pius X-ty, jak to dziś się okazało, oddawał najwyższą przysługę tylko Kościołowi, którego jest głową, lecz jednocześnie wszystkim wyznaniom chrześcijańskim. Można spodziewać się, że proces Verdesi'ego przyczynia się do rozwiania wielu nieporozumień i do rozbicia wielu uprzedzeń".

Wyrok w sprawie Verdesi'ego zapadł w Rzymie dn. 6-go b. m. Oskarżonego skazano za oszczerstwo na dziesięć miesięcy więzienia i 833 lir kary. Prokurator żądał piętnaście miesięcy więzienia i 1,500 lir kary.

Ś. p. Ksiądz Franciszek Stopierzyński.

Dyecezya kujawsko-kaliska straciła kapłana, którego duchowe cnoty i przymioty towarzyskie znane były szerszemu ogółowi.

Prawością charakteru pozyskał sobie wielki szacunek — a uczynnością i miłosierdziem dla wszystkich, miłość szczerą.

Urodził się w 1837 roku, a w 1863 został wyświęcony na kapłana. Od wielu lat pełnił obowiązki profesora seminaryum i wizytora klasztorów. Władza duchowna, oceniając jego przymioty i pracę, odznaczała go godnościami, po których postępując stopniowo, doszedł do tytułu prałata archidyakona katedry Włocławskiej.

Wspomnienie tego kapłana będzie pobudką dla młodszych pokoleń do naśladowania jego cnót.

Z Białegostoku.

Piękną uroczystość święciła parafia Białostocka przed paru tygodniami. Ukochany przez wszystkich proboszcz ks. kanonik Wilhelm Szwarc obchodził 50-letni jubileusz kapłaństwa. Wyświęcony na kapłana w 1861 objął obowiązek wikaryusza w Grodnie, a wkrótce sprawował obowiązki proboszcza i kapelana wojskowego. Od roku 1870 naznaczony został przez władzę dyecezyalną na prefekta wszystkich szkół w Białymstoku — następnie dziekanem i proboszczem tamże.

W roku 1899 władza świecka usunęła go od nauczania we wszystkich szkołach z wyjątkiem instytutu naukowego żeńskiego, gdzie dotąd pozostał na stanowisku prefekta. Czynny, energiczny, nadzwyczaj pracowity, silnej woli, zawsze pierwszy stawał tam, gdzie wymagały pomocy kapłańskiej sprawy wiary naszej świętej. On to podjął i umiejętnie przeprowadził dzieło przebudowy kościoła. Dzisiaj kościół parafialny w Białymstoku jest chlubą miasta i jego ozdobą. Dwie wybitne cechy charakteru tego kapłana zjednały mu szacunek i miłość. Najprzód pracowitość, pomimo obowiązków prefekta, proboszcza i dziekana, pierwszy jest zawsze do konfesyonału i do niesienia posług religijnych. Drugą cechą jest szlachetna wyrozumiałość na usterki i błędy ludzkie. Nigdy np. o nikim źle się nie odzywa; jako dziekan taktem swoim i roztropnością potrafił pokierować podwładnem sobie duchowieństwem, tak, że w najcięższych czasach dla Kościoła, nigdy nie było w jego dekanacie żadnych zamieszek, ani wypadków, któreby utrudniały korzystną działalność duchowieństwa w sprawach religijnych.

Oceniając zasługi jubilata, władza duchowna obdarzyła go przed kilku laty godnością kanonika, a władza świecka ozdobiła go wielu oznakami orderowemi.

Najmilszą jednak nagrodą dla Czcigodnego Księdza Szwarca za jego pracę i rozumne kierownictwo sprawami Kościoła, jest miłość parafian i ogólny szacunek i przywiązanie doń duchowieństwa.

Dobrzyniewski, proboszcz.

Przysięga uczniów.

Uczniowie szkół amerykańskich powzięli niedawno takie zobowiązania pod przysięgą: „Ślubuję, że dobrowolnie i świadomie nie zniszczę nigdy drzewa, ani kwiatu, że nie nastąpię nikomu na nogę w tramwaju, że nie będę pluł na podłogę, ani na ulicę, że nie będę niszczył płotów, ani żywopłotów, że nie będę rzucał na ziemię papierków w ogrodach publicznych ani w wagonach, że będę zawsze grzeczny dla wszystkich, że będę ochraniał cudzą własność, że nie będę wybierał piskląt z gniazd ptasich i wogóle ślubuję, że wszelkich usiłowań dokładać będę, aby się stać pożytecznym obywatelem kraju". Szczęśliwy kraj, który ma takich obywatelów w zarodku!



BŁYSKAWICA.

Niezwykłe przygody rozbitka.

(Ciąg 2-gi).

— Jeżeli pragniesz widzieć rodziców, nie wspominaj teraz ani słowo o rachunku, który mi się wymknął przed tobą, — rzekł cicho. Potem głośno dodał:

— Za dwa lata, w styczniu, interesa komendanta będą ukończone i nic cię dłużej nie zatrzyma.

— Dwa lata! spory kawał czasu!

— Zapewne, ale ten czas przejdzie ci jak błyskawica, i przez całe życie tęsknić będziesz za twem podwodnem istnieniem. Ty, przyrodnik, czy możesz przedstawić sobie coś bardziej ponętnego nad te nieustanne podróże wśród niezmiernego Akwaryum mórz wszystkich. Książki, narzędzia, kolekcye, spostrzeżenia, wszystko będziesz miał pod ręką; przez jeden miesiąc spędzony pod wodą, nauczysz się więcej, aniżeli na ziemi przez wiek cały; będziesz świadkiem fenomenów nadzwyczajnych; zobaczysz krajobrazy, jakich nikt nie widział jeszcze; zapolujesz w lasach, których drzewa, cienkie jak wstążki, gałęzie swe splatają na wysokości tysiąca metrów; na podobieństwo średniowiecznych rycerzy, będziesz walczył wstępnym bojem i bronią zaczarowaną, z takiemi potworami, jakie tylko w gorączkowych snach się przedstawiają; zwiedzisz jaskinie, żywemi kwiatami usłane, odpoczniesz w koralowych gajach barw wszelkich, usiądziesz na ławicach perłowych, których człowiek nie dotknął nigdy i własną ręką wybierzesz najpiękniejsze perły na naszyjnik dla twej narzeczonej.

Te słowa, te obietnice zapalały moją wyobraźnię, czułem, że wpadam w rodzaj upojenia.

— Gdyby twoi rodzice tu byli, ciągnął doktór, aby mnie przekonać, — nalegaliby abyś przyjął.

Niestety! to wspomnienie osób drogich sercu uśmierzyło mój zapał, działając na umysł, jak woda na ogień.

Spostrzegł się, że nalegając zbytecznie, chybił celu, począł więc znowu malować w najświetniejszych kolorach szczęśliwą przyszłość, która mnie czeka.

Alem już go nie słyszał; w myśli widziałem ulicę Lurbę, i ten domek, tak wesoły, w którym mnie oczekiwano, a do którego ciężka wejdzie żałoba.

Ryk głuchy, lecz już więcej zbliżony, po raz drugi dał się słyszeć; Jowisz nagle się przebudził i począł śpiesznie układać w kosz wszystko, co zebrał.

Podczas naszej rozmowy nadszedł przypływ morza, zakrył całkowicie pierścień koralowy tak wysoko, że łódka kauczukowa prawie na równi z wierzchołkiem skały się kołysała.

— Widzisz, — mówił p. Durand, — niechże przy takich wielkich przypływach zerwie się burza, a fale uniosą cię jak źdźbło słomy.

Jeszczem się wahał.

— No, bądź-że mężczyzną, czy chcesz przez twój upór stać się przyczyną nieszczęścia rodziców? — mówił doktór — zostając tu, z pewnością nigdy już ich nie obaczysz. Chodź! — dodał, popychając mnie ku łódce — wszak obiecałem, że rodzice twoi będą zawiadomieni.

Dałem się popchnąć w łódkę, w której był już Foks z przyjacielem Jowiszem.

Zmusiwszy mnie, abym usiadł, doktór umieścił się przy mnie i dopiero po kołysaniu wątłego czółenka spostrzegłem, żeśmy odbili od skały.

— Ha! niech i tak będzie! — zawołałem, — ale ostrzegam, że na te wasze warunki zezwolenia nie daję, i ucieknę przy pierwszej sposobności.

P. Durand nic nie odpowiedział, lecz Jowisz ukazał swe białe zęby z szyderskim uśmiechem.

Ten uśmiech i wzrok, który rzucił na mnie, zdawały się mówić:

— Z pokładu „Błyskawicy“ nie ucieka się.

Płynęliśmy w milczeniu wprost na fantastyczny statek, który kołysany falami, zdawał się być olbrzymim wielorybem uśpionym; zaledwie połowa jego ciała wystawała nad wodę, w której pogrążała się część ostro zakończonej głowy, a tylko czerwone oczy na nas patrzyły. Kształt jego podobny był do olbrzymiego cygara, pokrytego błyszczącemi plamkami, z ich formy eliptycznej domyślałem się, że to są okna z bardzo grubych kryształowych tafli, osadzonych w mosiężnej oprawie, mogące się zakrywać niewidzialnemi, żelaznemi zasuwami.

Nikt się nie pokazywał na wierzchu tego dziwnego statku; zapytywałem siebie, jak będziemy mogli wdrapać się na te gładkie, za-

okrąglone boki, aby dostać się na grzbiet jego znacznie spłaszczony; kiedy w chwili, gdyśmy dotykali go prawie przodem naszej łódki, on nagle pogrążył się w morze, nie więcej, jak na metr głąbokości, lecz ruchem tym sprawiając wir wodny, który oczywiście pociągnął nas w to miejsce.

Jowisz widocznie obyty był z tym manewrem, bo dał się unieść, nie okazując żadnego niepokoju, zatrzymał łódkę w danem miejscu i wiosłem uderzył w pudło statku, pod nami będące.

Na ten znak, *Błyskawica* zwolna się wynurzyła, podnosząc nas na sobie bez żadnego wstrząśnienia, tak, że znaleźliśmy się o dwa metry nad wodą, po środku platformy, z której wnet woda zbiegła, zostawiając nas na suchem miejscu, tuż przy sporej wieżyczce, która sama na sobie się obracając, przedstawiła się nam w kształcie budki, w której pięciu lub sześciu ludzi pomieścić się mogło. Do budki tej weszliśmy, po umieszczeniu w niej przez Jowisza koszyka swego i łódki z powietrza opróżnionej.

Poczem doktór nacisnął guziczek, ciężki żelazny cylinder uczynił jeden obrót, ciemność dzień zastąpiła, lecz zatrzymując się przed innym otworem, odkrył przed nami schody kręcone, dywanem okryte, po których zeszliśmy do wnętrza *Błyskawicy*, gdzie żaden szmer, ani głos nie zdradzał istot żyjących.

W połowie schodów cichutko otworzyły się drzwi boczne, wiodące do obszernej izby, do której wszedłem wraz z Doktorem i Foksem, gdy murzyn znikał, zstępując po schodach w dalszą głębokość statku.

Sofy mieściły się pod ścianami kajuty, z góry oświetlonej przez niewielką kryształową taflę, która w tej chwili tylko błękit nieba ukazywała.

— Zaczekaj tu na mnie, — rzekł p. Durand, — wrócę za chwilkę. Uważaj się tu jak u siebie i rozporządzaj w tej kajucie, jak w swej własnej.

Nie czekając na odpowiedź, zbliżył się do półek z książkami, okrywających przeciwną ścianę i jakby różdżką czarodziejską dotknięte, dwie półki się rozsunęły, dając przejście doktorowi i wnet wracając na swe miejsce.

Sam pozostawszy w tem eleganckiem więzieniu, chciałem przynajmniej zapoznać się z jego umeblowaniem, jakoteż i przeznaczeniem.

Był to pokój wyraźnie do pracy urządzony. Stół założony mapami, kilkadziesiąt tomów starannie ułożonych, krzeseł kilka, wielki globus ziemski, papier, atrament, pióra i ołówki, oraz nieco narzędzi, ot, i wszystko, ale wszystko wygodne, eleganckie, umieszczone trwale, aby ruchem statku nie było uszkodzone.

Chociaż słońce dość jeszcze było wysoko, gdyśmy na *Błyskawicę* się dostali, zdało mi się, że światło szybko słabnie; wprawdzie pod równikiem noc prędko zapada, wszakże nie tak bardzo: podniosłem oczy na kryształową taflę. Z białej stała się błękitnawą, porysowaną światłemi prążkami, z których sobie nie umiałem zdać sprawy. Nagle na tle tem dziwnem ukazał się kształt ryby średniej wielkości, której dokładnie widzieć mogłem pletwy różowe i brzuch biały, jak gdyby unosiła się w mgle gęstej po nad moją głową.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego światło tak szybko ubywa: *Błyskawica* opuszcza się w głąb morza.

Doznałem na to odkrycie mimowolnej trwogi, zerwałem się z siedzenia, aby się otrząść z tego niepokoju.

Lecz w tejże chwili zupełna ciemność mnie ogarnęła i po jednostajnem opadaniu statku nastąpiła zupełna nieruchomość.

Po omacku wróciłem na sofę, zadając sobie pytanie, czy przez ciąg mego dwuletniego więzienia będę nawet i światła pozbawiony.

Ta obawa nie długo trwała. Szklanna, matowa kula umieszczona na mosiężnym pręcie pośrodku stołu, nagle sama się oświetliła, chociaż nikt nie zbliżył się do niej, i oblała pokój światłem łagodnem, jednostajnem, bardzo do dziennego zbliżonem.

W zaczarowanym pałacu nie odbywałoby się inaczej.

Przy tem świetle oczy moje zatrzymały się na zegarze, umieszczonym nad sofą; wskazywał on miesiące, dnie i godziny, a przynajmniej powinien był je wskazywać, bo jego niewidzialne wahadło żadnego nie wydawało dźwięku.

Wszakże jedna wskazówka zaznaczała 10 stycznia, druga godzinę 7 bez minut pięciu; a więc dzisiejszy dzień miesiąca i mniej więcej taką godzinę, jaka zdaje się być mogła.

Uważniej się przypatrując, dostrzegłem, że wskazówka sekundowa porusza się regularnie; ale wahadła niema wcale, ruchu też żadnego nie słychać.

Kiedym rozpatrywał mechanizm wewnętrzny, zawarty w szklannem pudełku i zupełnie mi nieznany, podniósł się młotek i z automatyczną regularnością wydzwonił godzinę siódmą, poczem wszystko wróciło do zupełnej nieruchomości.

Dawszy za wygranę w dochodzeniu mechanizmu wcale dla mnie niepojętego, zbliżyłem się do stołu, na którym otwarty był wielki atlas geograficzny.

Atlas geograficzny dla nikogo tajemnic mieć nie może, a tajemnice już mnie męczyć zaczynały.

Niestety! z nim było gorzej jeszcze. Kiedym spojrzał na pierw-

szą mapę, wybornie wszakże rysowaną, ukazała mi okolicę najzupełniej nieznaną. Napróżno rozpatrywałem dziwaczne jej kontury, usiłowałem zdać sobie sprawę z kierunku tych łańcuchów gór, których szczyty przechodziły co do wysokości, wszystkie znane na ziemi, z tych wielkich równin żadnemi rzekami nie przeciętych; okrywały je tylko nieregularne plany naprowadzone kolorami od białego aż do najczarniejszego; nic mi to zgoła nie objaśniało.

Druga mapa całkowicie biała, tylko konturem takimże obwiedziona, pokryta była mnóstwem cyfr, wyrażających bądź jedności, bądź setki i tysiące, nawet i dziesiątki tysięcy, ale te były rzadkie, i ta toż samo była dla mnie niepojętą.

Nie doszedłszy do żadnego rezultatu, chociaż mózg mój wysilałem, porzuciłem mapy, a zwróciłem się ku bibliotece.

Sądząc z tytułów, składała się przeważnie z najnowszych dzieł o chemii, fizyce, elektryczności, zwłaszcza mechanice, matematyce i historyi naturalnej.

Wziąłem do rąk jedną książkę, nosiła tytuł: *Przepaście morza*, autorem jej był p. Thomson, profesor nauk przyrodniczych.

Chociaż wydanie zupełnie świeże, miało jednak kartki mocno zużyte, a marginesy pokryte notatkami pismem niezmiernie drobnem, lecz bardzo czytelnem.

Tuż obok, na grzbiecie ogromnego *in folio*, przeczytałem następny tytuł ręką wypisany: *Dokumenta do topografii podwodnej oceanu Spokojnego.*

Trzecia księga, równie w manuskrypcie, nosiła tytuł: *Fauna i flora oceanu od 1 do 9500 metrów głębokości.*

Dla mnie, który z zamiłowaniem począłem studyować faunę morską, ten ogromny rękopis miał niezmierne znaczenie; pochwyciłem go, jak skąpiec skarb chwyta i na stół zaniosłem.

Zaiste, w tym zbiorze książek było czem zająć ciekawość człowieka dla nauki najobojętniejszego, zaczynałem więc pojmować, że bądź co bądź, więzienie moje nie tak przykrem będzie, niż mi się zdawało.

Zaledwie przeczytałem dziesięć stronic tego rękopisu, pisanych z jasnością i dokładnością matematyczną, a przepełnionych spostrzeżeniami, niemożebnemi do uskutecznienia, tylko w warunkach, w jakich się *Błyskawica* znajdowała, zapomniałem o wszystkiem, bodaj czy nawet nie o własnem istnieniu...

— Jakto, już przy pracy? — zapytał mnie doktór, którego wejścia nie słyszałem wcale. — To prawdziwie, jaśli się nie mylę, nazywa się nie tracić czasu.

— A! bardzo dobrze, czas to pieniądze, — odezwał się jakiś głos gruby, który sprawił na mnie takie wrażenie, że aż podskoczyłem na krześle.

Obróciłem się i za sobą, ujrzałem obok p. Duranda, człowieka średniego wzrostu, krępego, z brodą rudawą, gdzieniegdzie siwiejącą, wachlarzowato rozstrzępioną, z włosami krótko ostrzyżonemi i pokrytemi marynarskim kaszkiecikiem; z wielkim czarnym plastrem na lewem oku, a drugiem błyszczącem z pod brwi gęstych. Był to człowiek z wyrazem twarzy srogim i dobrym, śmiałym i szczerym, z jedną z tych fizyognomii, których się zapomnieć nie może, gdy się raz widziało, oznaczającą energię niezłomną i przenikliwość niezwykłą.

— Kapitan Ferragus, właściciel i komendant *Błyskawicy*, rzekł doktór.

Powstałem zmięszany trochę niespodzianem zjawieniem się mego samowładnego pana, i nie wiedząc, co mu powiedzieć, skłoniłem się tylko.

On lekko podniósł rękę do czapki, jedyne swoje oko siwe utkwił we mnie z taką magnetyczną siłą, że aż dreszcze przeszły po mnie i nic nie mówiąc, wodził po mnie wzrokiem.

Widać, że mu wystarczył ten krótki egzamin, bo dwa razy powtórzył:

— *Good man, good man* (dobry człowiek)!

Poczem bez dalszych ceremonii usiadł w krześle na biegunach, począł się hustać, przesunął fajkę, wydymającą mu policzek i odezwał się do mnie najczystszą francuzczyzną:

— Z jakiego miasta pan jesteś rodem?

— Z Bordo, panie komendancie.

— Nazywaj mnie kapitanem, albo nie dawaj żadnego tytułu, to lepiej. Czem się zajmujesz?

— Jestem pomocnikiem przy „Jardin des Plantes“ w Paryżu.

— Ach! dobry nabytek dla ciebie, doktorze! Skąd przybywasz?

— Z Kochinchiny, byłem na pokładzie „Pantery“.

— Kapitan Mac-Kaoly?

— Tak jest, kapitanie!

— Osiel znakomity! Jaką część nauki najbardziej studyowałeś?

— Ichtyologię, naukę o rybach.

— Czy rysujesz?

— Trochę.

— Przypatrz mi się. Potrafiłbyś zrobić mój portret?

— Rysuję tylko kwiaty i zwierzęta.

— Ach! mówią, że jestem podobny do sępa, portret może ci się udać. Czy pięknie piszesz?

— Nie pięknie, ale wyraźnie.

— To i dosyć. Ile znasz języków?

— Trzy.

— Angielski?

— Rozumiem, ale nie władam nim biegle.

— Które znasz dokładnie?

— Francuski, hiszpański i włoski.

— Ach! włoski, to dobrze, mamy tu wiele dzieł w tym języku, Włosi wiele pracują nad naukami przyrodzonemi. Lubię Włochów, Niemców nie cierpię, w naukach są pedanci. Możesz tu stać się pożytecznym, rad jestem, że doktór cię przywiódł.

Smiał się, uderzając lewą ręką po poręczy krzesła.

Uderzenia te wydawały dźwięk tak dziwny, że aż spojrzałem na niego.

— Ach! — rzekł, podnosząc rękaw swej kurtki, — nie wszyscy ludzie posiadają rąk dwoje i dwoje oczu, — i wskazał na drewniany przyrząd, zakończony żelaznemi palcami, który od łokcia rękę mu zastępował. — Lepszy kawałek drewna, niż nic wcale, jedna ręka lepsza jednak, niż miliony rąk drewnianych. Cóż robić? każdy ma swoją biedę; ty masz zdrowe i całe członki, a jednak nie z własnej woli tu się znajdujesz; miej odwagę, pracuj, a przekonasz się, że dwa lata prędko ubiegną.

To ostatnie słowo wróciło mi pamięć, chwilowo czem innem zajętą.

— Mam nadzieję, kapitanie, że nie będziecie mnie zmuszać do pozostawania tu przez czas długi? — rzekłem.

Brwi komendanta się ściągnęły, jednak odpowiedział spokojnie:

— Przykremby mi było, gdy mój przyjaciel, — tu wskazał na doktora, — nie zawiadomił cię o koniecznym warunku, bez którego nikt na mój statek nie może być przyjęty.

— Mówił mi o nim, kapitanie, lecz byłem zanadto pewny waszej sprawiedliwości i dobroci, ażeby....

— Prawo, jest prawem, mój panie, i powiedziałem już, że jest nieubłaganem.

— Rozumiem to dla kogoś, coby z dobrej woli chciał należeć do pańskiej załogi, ale ja, rozbitek, któregoście przez ludzkość ocalili, mamże być poddany temu prawu?

— Tak samo jak i my wszyscy.

Słowa te wymówił takim tonem, żem pojął nieużyteczność nalegania.

— Ha! cóż robić? — odpowiedziałem, — jestem waszym więźniem; wy macie siłę, ja mam za sobą prawo słuszności; lecz muszę was uprzedzić, że przy pierwszej sposobności postaram się uciec.

Kapitan wstał, w milczeniu przeszedł się po pokoju i zatrzymawszy się przed doktorem, zapytał:

— Ten młodzieniec czy wie?....

— Nie wie o niczem, — odpowiedział doktór.

— Tem lepiej dla niego, — rzekł ten wilk morski.

I zwracając się do mnie, dodał:

— Byłeś szlachetny, uprzedzając, że będziesz starał się uciec; jeżeli ci się uda, nie będę mógł czynić ci wyrzutów. Ale sam to zapewne pojmujesz, że od tej chwili nasze stosunki muszą być inne, niż te, których się spodziewałem. Nie zostaniesz ani zamknięty, ani okuty w łańcuchy, ale mojem prawem a nawet obowiązkiem, będzie nie dozwolić ci stosunków z innemi osobami statku, jeśli są jakie, ani wstępu do innych części „Błyskawicy", niż ta, w której zamieszkasz. Toż samo i na pokład, wyjść nie będziesz mógł, chyba w godzinach oznaczonych i pod mojem okiem; nie będziesz także widywać nikogo, oprócz naszego kochanego doktora i Jowisza, jeśli jego usługa będzie ci potrzebną.

— Te warunki mniej są ciężkie, aniżelim się spodziewał. Dziękuję wam, kapitanie!

— Jesteś szalony! — zawołał p. Durand. — Daj słowo pozostania tu przez dwa lata, nie starając się o ucieczkę.

— Nie nalegaj na niego, doktorze, zawsze będzie miał możność zmienić swe postanowienie, ale jeśli da słowo, już nie będzie mógł go cofnąć. Do widzenia, jak namyślisz się, to daj mi o tem wiedzieć.

Kapitan uścisnął moją rękę i skierował się ku półkom z książkami, widziałem, że wyjść zamierzał.

— Jeszcze jedno słowo, panie Ferragus, a raczej prośba, — rzekłem; — moi rodzice dowiedzą się o zatonięciu „Pantery", na której się znajdowałem; czy mogę, jakimbądź sposobem uwiadomić ich, że żyję i kiedyś będę mógł ich zobaczyć?

— Za dni ośm będą zawiadomieni, jeśli mi dasz ich adres.

— Czy nie mógłbym napisać do nich?

— Depesza będzie pewniejszą i prędszą.

— Chciałem powiedzieć, czy nie mógłbym sam napisać depeszy?

— Pod warunkiem, że mi będzie do rąk oddana i że w niej żadnej wzmianki o „Błyskawicy" nie umieścisz.

— Ja nic więcej nie żądam, tylko zaspokojenia rodziców, co do mego losu.

— Będą zaspokojeni. *All right*, (wszystko dobrze)! — rzekł kapitan, wychodząc.

Zostałem sam z doktorem, który był mocno rozdrażniony.

— Szalona głowa! szalona głowa! — powtarzał.

Nie słuchając jego narzekań, gdyż zanadto byłem wzburzony, wziąłem kawałek papieru i napisałem depeszę, mówiąc:

— To dla pańskiego przyjaciela, dozorcy więzienia.

Pan Durand westchnął, nic nie mówiąc.

Chciałem go doprowadzić do ostateczności i ciągnąłem:

— O kimże to chciałeś mówić, kiedyś rzekł, że *ona* mieć będzie lat 21, 8 stycznia 1878 roku?

Spojrzał na mnie z wyrzutem i odpowiedział:

— Wymknęło mi się jedno słowo, które nie powinienem był powiedzieć, bo ta tajemnica nie do mnie należy. Chcesz, żebym tego żałował? dobrze, niech i tak będzie! Jutro wytłomaczę ci znaczenie tych słów, jeśli tego żądasz; ale wiedz, że zmuszasz mnie do niedotrzymania danej obietnicy, i od tej chwili już tylko jako więźnia, uważać cię będę.

— Któżby wiedział o tem?

— Kapitan, któremu zarazbym wyznał, że zdradziłem jego zaufanie.

Na te słowa doznałem wyrzutu sumienia, począłem go ściskać, prosząc o przebaczenie.

Zacny człowiek rozrzewnił się, przyciskając mnie do piersi.

— Szalona głowa, — powtarzał — szalona głowa, ale poczciwe serce!

Po chwili zupełna nastąpiła zgoda, i p. Durand, spokój odzyskawszy, tłómaczył mi wiele rzeczy wcale prostych, które mnie bardzo zadziwiły.

I tak co do zegaru, nad którym głowę sobie łamałem napróżno, objaśnił, że to jest tylko cyferblat, na którym drut elektryczny, idący od głównego zegaru, w innem miejscu umieszczonego, porusza skazówki zapomocą wahadła, zawierającego w swej soczewce elektromagnes.

Kiedym podziwiał dowcipne zastosowanie tego systemu, obmyślonego przez Francuza, doktór rzekł:

— Już ci wspominałem, że elektryczność gra tu najważniejszą rolę i spełnia mnóstwo czynności: ona to zapala lampy, odmyka i zamyka drzwi, przesyła rozkazy komendanta, zasuwa okna żelaznemi okiennicami, oświetla morskie otchłanie, dostarcza broń zaczepną i od-

porną, nagina się do wszelkich użytków i w ręku komendanta stanowi siłę równie potężną, jak posłuszną.

— Jednak wasz komendant nie wygląda na bardzo uczonego, — rzekłem.

— Nie sądź z pozorów, suknia nie czyni człowieka.

— Czyżby to on oznaczył na tej mapie głębokości morza i napisał ten tom olbrzymi? — pytałem dalej.

— Pismo przynajmniej jest moje, — odpowiedział doktór, — tam zamieszczam spostrzeżenia, jakie zdarza mi się czynić.

— A które są niezmiernie ważne, — zawołałem, — to skarb prawdziwy, który....

— Gdybyś do nas należał, — przerwał doktór — mógłbyś coś podobnego uczynić; a cóż powiesz o tych mapach?

— Powiem, że nic a nic ich nie rozumiem.

— Jednak z łatwością można się w nich rozpoznać; ta naprzykład, przedstawia wypukłości morza Śródziemnego, morza, które znasz dobrze.

— Nie sądziłem, aby morze mogło mieć jakie wypukłości.

— Powierzchnia, zapewne, ale tu chodzi o kotlinę, w której ono zawarte, a która przedstawia się, jakby powierzchnia ziemi; bo przypuść, że naraz znikają wszystkie wody, dwie trzecie globu naszego pokrywające, cóż wtedy ujrzysz na ich miejscu?

— Niezmierne kotliny suche, niby olbrzymie miednice próżne.

— Niech będzie miednice, ale z dnami nieregularnemi, najrozmaiciej powyginanemi, okazującemi podobne nierówności, jakie powierzchnia lądów przedstawia: płaszczyzny, wąwozy, przepaście, łańcuchy gór, szczyty niebotycznie wznoszące się nad powierzchnię wód i tworzące wyspy; dalej pustynie piasczyste, grunta urodzajne, skały, źródła, rzeki i wulkany.

— Widzę to wszystko na mapie oznaczone, oprócz biegu rzek, o tych zapomniałeś, doktorze!

— Dla bardzo ważnej przyczyny; oto że w obecnym stanie świata podmorskiego, źródła nie płyną, ale prostopadle wznoszą się w górę, z powodu lekkości ich wód, które nie będąc słone, przenikają warstwy gęściejsze, aby rozlać się na powierzchni.

— A wasze wulkany, gdzież są one?

— Masz oto jeden tu, drugi dalej nieco, — mówił doktór, palcem na mapie wskazując, — niektóre są nieustannie czynne, i zapewniam cię, że taki widok warto oglądać.

— Byłbym bardzo ciekawy.

— Jak będziesz do nas należeć, wszystko poznasz pomału, —

wtrącił p. Durand, widocznie działając na moją ciekawość naukową, i usiłując tym sposobem przywiązać mnie do siebie.

Udałem, żem nie zrozumiał i mówiłem dalej:

— Jeszcze rzecz jedna, z której nie mogę zdać sobie sprawy; co znaczą te plamy rozmaicie cieniowane, które widzę na mapie?

— One oznaczają głębokość wody, a razem i kształty różnych kotlin. W oceanie ołowianka wykazuje 9 kilometrów głębokości, a w niektórych dochodzi do 11; ale morze Śródziemne nie ma więcej nad 3,600 metrów głębokości; lecz jeśli doliny tam mniej głębokie, za to są bardzo malownicze.

— Zdaję mi się, że trudno sądzić o tem.

— I ja dawniej tak myślałem.

— A więc tak nie jest?

— Nie spuszczałem się nigdy na głębokość 11,000 metrów, ale w głębokości 3,600 metrów przechadzka jest bardzo przyjemną i bardzo nauczającą. Jak do nas się wciągniesz, pewny jestem, że te wycieczki zajmą cię niezmiernie.

Popatrzył na mnie, a widząc, że słucham z pewnym rodzajem osłupienia, dodał:

— Patrz na tę kotlinę pomiędzy hiszpańską Sierra de la Ronda a górami Marokańskiemi, które łączą się z sobą pod cieśniną Gibraltaru, przedłużeniem dochodzącem o mało nie do powierzchni wody. Zwiedzałem tę okolicę wraz z kapitanem i wycieczka była bardzo zajmująca, kiedy doszedłem do tego grzbietu, nie więcej jak na 200 metrów zanurzonego. Przechodząc przez mały gaik wodorostów, w którym miałem nadzieję ubić kilka „papug morskich“, nagle napadnięty zostałem przez olbrzymiego rekina, który mnie tylko obalił, nie mogąc podpłynąć podemnie, aby schwycić. W końcu jednak byłby mnie pożarł, gdyby nie kapitan, którego na pomoc zawołałem; ten nadbiegłszy, zabił go jednym wystrzałem; rekin wypłynął wnet na powierzchnię morza, jakby korek.

Na ten raz żart wydał mi się zanadto przesadzony: wołać na pomoc, strzelać pod wodą, to na żart wyglądało. O mało się nie rozgniewałem.

— Światło! — odezwał się głos, zdający się wychodzić z atlasu przedemną rozłożonego.

Szybko odsunąłem moje krzesło, ażeby spojrzeć pod stół, sądząc, że tam ktoś był schowany.

— Czy co upuściłeś? — zapytał doktór.

— Albożeś nie słyszał głosu?

— Tak, kapitan nas uprzedzał.

— Więc on tam, pod stołem?

— Co znowu? w swojej kajucie.

— Przysiągłbym, że głos stąd wyszedł.

— Bo i tak jest rzeczywiście, — mówił doktór, wskazując małą trąbkę mosiężną, przytwierdzoną do rurki kauczukowej, okręconej wokoło postumentu lampy.

— Cóż on chciał powiedzieć przez to jedno słowo?

— Jest to grzeczność z jego strony względem ciebie; pragnie cię rozerwać. Widzisz, że jak na więźnia, niezbyt srogo z tobą się obchodzą, ale gdybyś do nas należał, inaczejby jeszcze było.

— Cóż to za grzeczność i jaka ma być rozrywka? Ja nic nowego nie widzę.

— Czy wiesz, gdzie teraz jesteśmy?

— Domyślam się, że pod wodą.

Doktór spojrzał na manometr, narzędzie oznaczające ciśnienie zewnętrzne, tem silniejsze, im głębiej się zapuszcza; wskazywało więc głębokość na jakiej znajdowała się „Błyskawica“.

— Pod wodą, ale na głębokości 50 metrów tylko, — mówił doktór; — czy byłbyś ciekawy widzieć otoczenie, pośród którego płyniemy?

— Chociaż do was nie należę, — odpowiedziałem z uśmiechem,— wyznaję, że byłbym rad temu.

— A więc patrz! — rzekł, pociskając guziczek przy lampie, która wnet zagasła.

Sądziłem, że to uczynił przez omyłkę i rzekłem:

— Widzę teraz, że nic a nic nie widzę, jeżeli to taka rozrywka, ta....

Wtem okrzyk podziwienia, prawie przestrachu, wyrwał się z ust moich.

Na odpowiedź p. Durand „jesteśmy gotowi“, daną w rurkę kauczukową, okiennica poprzeczna, usuwając się, odkryła jedną z tafel kryształowych, wprawionych w boki statku, pogrążonego w morzu, od którego półtora calowa grubość kryształu tylko nas oddzielała, tak, że wzrok mógł swobodnie obejmować dość znaczną przestrzeń.

Tonie morza, oświetlone przyrządem elektrycznym ogromnej siły, przedstawiały widok wspaniałości z niczem niezrównanej. Czarodziejska różdżka nauki ciemności nagle w światło zamieniła.

Tonie wyglądały, jak kryształ świecący, przecięty zielonemi, żółtemi i błękitnemi prążkami fal, mijającemi się z odurzającą szybkością równolegle z naszem oknem; deszcz gwiazd złotych, szmaragdowych i rubinowych burzą uniesionych; fajerwerk olśniewający, pełen iskier

złotych, odbijający się na tle, którego świetlana przezroczystość w dal się rozciągała, przechodząc przez cienie coraz słabsze, aby się stopić w mgle złotawej.

Przez kilka minut stałem w osłupieniu przed tym czarodziejskim obrazem.

— Posuwamy się z niezmierną szybkością, — rzekł doktór, — ale miej cierpliwości trochę, za kilka chwil widok się zmieni.

Rzeczywiście, po upływie kwadransa, owe równoległe prążki, zwalniając ruch swój, poczęły przechodzić w falujące wstęgi, o mniej żywych barwach i coraz bardziej przedłużając się i blednąc, znikły zupełnie.

Kryształ odzyskał swą przezroczystość i pozostaliśmy, jakby zawieszeni wśród kuli szklannej, niepokalanej czystości.

To trwało tylko chwilkę, próżnia wnet się zapełniła. Przynęceni światłem podwodnem, mieszkańcy tej części oceanu, wkrótce zewsząd nas otoczyli, spuszczając się z jego powierzchni, lub podnosząc się z głębin. Cała część oświetlonej przestrzeni, którą mogliśmy objąć wzrokiem, napełniła się niemi; jedne trzymały się w oddali, zaledwo dostrzeżone, inne ocierały się prawie o taflę, co nas od nich oddzielała.

Kilka istot dziwacznych mijało się i wracało przed nami.

Wiele było zupełnie mi nieznanych, nawet między temi, które studyowałem w Muzeum; tak wielką jest różnica pomiędzy biednemi okazami okrytemi pyłem, których łuski blask swój i barwę straciły, a temi istotami, pełnemi życia, igrającemi w swoim żywiole, których okazałe lub wytworne ozdoby, migotały w ogniach elektrycznego światła.

Pomiędzy temi wszystkiemi istotami, tak różnemi między sobą ruchami i kształtem, doktór, przyzwyczajony do tych fantastycznych widoków, wskazywał mi najrzadsze gatunki, wymieniając ich naukowe jak i popularne nazwy. Jedne były wydłużone, wysmukłe jak węgorze, koloru szmaragdowego, z dziobem długości nie zastosowanej do ich wzrostu, a cienkim jak dudka pióra; inne okrągłe, jak kule, najeżone ostremi kolcami, koloru szarego i z ogromną paszczą; inne znowu podobne do szerokich liści rudawych po wierzchu, brudno białych ze spodu; to były raje kolczaste, flondry różowe, drętwy elektryczne, wszystkie żyjące na dnie, leżące na piasku; opuściły one swoje schronienia, aby przyjść przypatrzeć się bliżej temu słońcu tak śmiałemu, że aż przyszło oświetlić ich państwo.

P. Durand powiedział, że znajdujemy się na ławicy, nie głęboko położonej, gdyż, ryby tych gatunków, z nielicznemi tylko wyjątkami, nie zapuszczają się na głębiny.

Widok wielu „sepii“, wydymających swoje jakby flasze brunatne, przez których otwór zwieszały się ich ramiona, opatrzone baniećzkami, dowodził prawdziwości spostrzeżeń mego uczonego przyjaciela. Te sepie przebywają na skałach nadbrzeżnych, w których szczelinach żyją mięczaki, za pokarm im służące.

O mało jedna z nich nie stała się ofiarą swej ciekawości: potężnym skokiem prześliczna chińska „dorada“ rzuciła się na nią; lecz sepia czuwała nad sobą. Chmura czarnego dymu wnet ją okryła, wstrzymując nagle, jakby wystrzałem z pistoletu, chciwego łupu napastnika, który cofnął się zmieszany, gdy chytry mięczak, wciągnąwszy swe ramiona, jak kamień spuścił się na dno.

Ten dramat domowy, którego główny aktor, omylony w swych nadziejach, zniknął jak błyskawica, żadnego między spektatorami nie sprawił wrażenia.

— Cóż myślisz o tym podmorskim świecie? — zapytał doktór.

— Że ten widok jest cudowny.

— Ba! widzisz tu dopiero przednią straż armii podwodnej, dzieci stracone, drobiazg, za chwilę obaczysz pojawiających się wielkich panów.

— Sądzę, że niebardzo się trzymają hierarchicznego porządku? — odpowiedziałem.

— W tem się mylisz; wielkie ryby zawsze są ostrożniejsze; kiedy przeczuwają niebezpieczeństwo, naprzód inne wysyłają na zwiady, jak lwa poprzedzają szakale, a orła jastrzębie.

Prawie w tejże chwili i jakby na potwierdzenie słów mowiącego, gromada ryb wyższego rzędu ukazała się w polu oświetlonem.

— Widzisz je? — rzekł p. Durand.

— Ich łuski świecą się, jak pancerze srebrne.

— Majtkowie, — mówił doktór, — którzy zawzięcie za niemi się uganiają po całem morzu Indyjskiem, niewłaściwie nazywają je „białemi sztokfiszami“; świeże bardzo są delikatne i smaczne.

— Ale powierzchowność wcale nie ponętna. Jakież okropne postacie tych ryb! — dodałem, przypatrując się z odrazą jednej z nowo przybyłych, która prawie o okno nasze się ocierała, ukazując długą, gładką głowę, plamami pokrytą, ogromną paszczę i wielkie oczy, które pozbawione powiek, patrzyły błędnem spojrzeniem. — Te ryby muszą być bardzo głupie.

— I w tem się mylisz, przeciwnie, są to jedne z ryb najinteligentniejszych. Rybacy, którzy w wielkich sadzach żywemi je chowają, utrzymują, że zdolne są do pewnego przywiązania, poznają tego, co je karmi, i zawołane, przychodzą brać pokarm z jego ręki.

— A te, co są za jedne? — odezwałem się, pokazując dwie ryby kształtów niezwykłych, z których jedna, bardzo gruba, podobną była do rogowego pudełka ze złocistym odblaskiem, opatrzonego dziurami, przez które wystawały ogon i pletwy pięknego, pomarańczowego koloru. — Czy to nie będzie „kufer trójkątny“ Lineusza (Ostracion trigneter)?

— On sam, — odpowiedział doktór, — jest to ryba dość pospolita na brzegach Florydy, gdzie rybacy nazwali ją „pudełkiem na tytoń“, jest niejadalną, ale w każdym razie więcej warta od swej towarzyszki, którą widzisz, o skórze brunatnej, czarno centkowanej, wydętej jak balon i najeżonej kolcami ostrzejszemi, aniżeli u jeża. Mięso jej jest jadowite, zwłaszcza żółć, która za gwałtowną truciznę jest uważaną.

— „Rybojeż“ (Diodon maculo striatum), według Kuwiera, — zawołałem, przypomniawszy sobie jej nazwę.

— Brawo! znasz się widzę na ichtyologii i wyjdziesz na prawdziwego uczonego, jak między nami przepędzisz nieco czasu.

Tym razem nic na to nie rzekłem: wszystko, co miałem przed oczyma, tak bardzo mnie zajmowało, że pomyślałem, iż może i dam żądane słowo kapitanowi.

Jeszcze przez całą godzinę najdziwniejsi mieszkańcy wód, tak liczni w morzach ciepłych, przesuwali się przed nami.

— Baczność! — zawołał doktór, — oto „Remora“, „Ludojad“ niedaleko.

Rzeczywiście, ogólny popłoch powstał wśród ciżby ciekawych, których szeregi się rozstąpiły.

Cień czarno-sinawy, ukazał się w oddaleniu i szybko sią zbliżał.

Zatrzymał się nagle pośród świetlanego kręgu elektrycznego światła.

Nie był to „rekin ludojad“, lecz jeden z najstraszliwszych „żarłaczy“, najdziwaczniejszej postaci, znany pod nazwą „Młota“ (Zygaena).

Nieruchomy i zawieszony nad nami, miał około 16 stóp długości, od głowy, aż do końca ogona, mającego kształt kosy.

Głowa podobną była do młota, osadzonego na cienkiej szyi, jak na trzonku, mającego po obu swych końcach ogromne na wierzchu osadzone oczy. Nie mogłem ich widzieć dobrze, ale za to paszczy, wybornie z dołu oświetlonej, mogłem przypatrzeć się dokładnie. Otwierała się w ogromne półkole i prawie pod szyją, tak, że zwierzę nic uchwycić nie może, nie podpłynąwszy pod swą ofiarę i na wznak się nie przewróciwszy; błyszczało w niej ośm rzędów zębów straszliwych, jak groty strzał w ząbki powcinanych.

Sąsiedztwo „Błyskawicy“, którą brał może za niebezpiecznego współzawodnika, zdawało się go niepokoić, bo po krótkim namyśle oddalił się, zwolna wprawdzie, ale nie myśląc o pożarciu żadnego z ciekawych, którzy byli w pobliżu.

Po nim nastąpiły „tuńczyki“ i „dorady“; przybywały też inne, których w oddaleniu jeszcze nie mogłem rozróżnić, w tem światło nasze raptem zagasło, a po szumie wody, ocierającej się o żelazne boki statku, pomiarkowałem, że puściliśmy się naprzód z wielką szybkością.

Ten bieg przyśpieszony trwał kilka minut.

Doktór zapalił lampę.

— Blizko jedenastej, — rzekł, — zostawiam cię, muszę pójść, obejrzeć nasz połów dzisiejszy.

— Więc łowiono ryby, podczas gdyśmy stali?

— Nie, ale każdego prawie wieczora odbywa się połów w sposób następny: „Błyskawica“ zatrzymuje się na płytszych miejscach i oświetla się na zewnątrz, aby ściągnąć ryby; potem, kiedy widzi, że zebrały się te, które mieć żąda, nagle gasi światło i szybko posuwa się naprzód, ciągnąc za sobą wielką sieć, w tyle umocowaną.

Ryby, nagle zaskoczone, gromadzą się w matni, która się zamyka i wyciąga na pokład, ażeby wybór między złowionemi uczynić, przy którym zawsze jestem przytomny, wraz z kapitanem, bo często, zawsze prawie, wśród tego obfitego połowu znajdą się sztuki arcyrzadkie, któremi wzbogacam nasze zbiory.

— Więc macie i zbiory?

— Kolekcyę, jakiej nie zobaczysz gdzieindziej, sam to przyznasz, jak sprawdzisz własnemi oczyma, gdy do nas należeć będziesz. Ale otóż i Jowisz.

— Kiedy pan zechce się położyć, to tu jego kajuta, — rzekł Murzyn, naciskając guziczek prawie niewidzialny, w jednej ze ścian wprawiony.

Drzwi się otworzyły i Jowisz wprowadził mnie do kajuty malutkiej wprawdzie, ale niezmiernie wygodnej, w której urządzeniu o niczem nie zapomniano, nie tylko co koniecznem, ale nawet i wymyślnem było.

Nad łóżkiem spostrzegłem krzyż i kropielnicę. Byłem wśród chrześcijańskiego społeczeństwa. To odkrycie bardzo miłe uczyniło na mnie wrażenie.

Jowisz otworzył szafkę pełną bielizny i odzieży, wiszącej na kołku.

— To wszystko do pana należy, — rzekł i wyszedł, skłoniwszy się i w uśmiechu, pokazując zęby, któremi się zachwycałem.

Więzienie coraz mniej strasznem mi się wydawało.

III.

— To dopiero nazywa się spać! — zawołał doktór, wchodząc do mojej kajuty.

— Któraż to godzina?

— Wkrótce dwunasta.

— Niepodobna! wszak jeszcze światło błyszczy w sąsiedniej kajucie.

— Cóż dziwnego! jesteśmy na 150 metrów pod powierzchnią wody.

— Prawda, zapomniałem, o którejże spać się położyłem?

— O dziesiątej.

— To mi się sen udał, ale natychmiast wstaję.

— Chcesz, bym ci przysłał Jowisza?

— Dziękuję, zawsze sam się ubieram.

— Mam dobrą wiadomość dla ciebie.

— Wasz kapitan zgadza się może na ląd mnie wysadzić.

— A mnie się zdaje na prawdę, że gdyby ci to zaproponował, byłbyś nieoględnym, gdybyś to przyjął, — odpowiedział p. Durand z pewną niecierpliwością.

— Nie, mój doktorze!

— Nawet po tem cudownem widowisku, coś wczoraj oglądał?

— Zawsze.

— To doprawdy szaleństwo. Zresztą, nie o to chodzi.

— Co innego mało mnie zajmuje — odrzekłem cierpko.

— Dziś rano, kiedy spałeś jeszcze, — mówił p. Durand, unikając dalszej rozprawy, — chodziłem polować na ślicznej łące, i miałem szczęście znaleźć kilka okazów niezmiernie rzadkich, które chciałbym ci pokazać; mówiłem o tem kapitanowi, od którego otrzymałem upoważnienie pokazania ci naszych zbiorów.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, kochany mój opiekunie, i korzystając z udzielonego pozwolenia, będę gotów za chwilę.

— Dobrze więc, zaczekam na ciebie w bibliotece.

Zakręcił kluczem przy lampie, która wnet się zapaliła i wyszedł.

Kiedym się ubierał pośpiesznie, usłyszałem w drugim pokoju lekki brzęk srebra i porcelany: Jowisz musiał zapewne nakrywać do stołu.

Wszedłszy, zastałem śniadanie już podane; składało się z ostryg i innych mięczaków, z przepysznej *dorady* chińskiej, z jednego dania

mięsnego, które wziąłem za polędwicę wołową i z prześlicznych owoców zwrotnikowych, tak świeżych, jakby tylko co z drzewa zerwanych.

Zasiedliśmy do stołu, byłem głodny, znalazłem wszystko wyśmienitem.

Doktór zdawał się być uszczęśliwiony, widząc mnie zajadającego z takim smakiem.

— Jak ci się podobają te ostrygi? — zapytał.

— Wyborne, ale należące do nieznanego mi gatunku.

— Wątpię, ażeby ktorykolwiek z największych smakoszów jadł je kiedy w Europie. Te pochodzą z Nowej-Kaledonii, gdzie sam zbierałem je na drzewach.

— Zbierałeś ostrygi na drzewach?

— Bezwątpienia; zresztą możesz jeszcze obaczyć gałązki, na których wiszą, jak grona daktylów na palmach, czepiają się one albo końca giętnikch gałązek *pochutników*, albo cienkich korzeni, które te drzewa zewsząd zapuszczają w morze, i dlatego, że znalazłem je bardzo smacznemi, znaczny uzbierałem zapas.

— A też owoce?

— Zebrane na niektórych wyspach, rozsianych po morzu w okolicy równika, a potem zamknięte w osobnym hermetycznym przedziale statku, w którym pompa pneumatyczna uczyniła próżnię. Zachowując pewne ostrożności, możnaby je przechować w takim stanie przez całe lata.

— Sądziłem, że wy żadnych z ziemią stosunków nie macie.

— Zrozumiejmy się tylko; na ziemię zamieszkaną, jak potrzeba, to tylko jeden kapitan udaje się; ależ dużo jest wysepek niezaludnionych, i ja często odbywam na nich przechadzki, jak na tej koralowej rafie, gdzie miałem szczęście cię spotkać.

— Czy często wychodzicie z głębi morza?

— To zależy od stron, w których się znajdujemy; zdarzało się nam i po kilka tygodni przebywać pod wodą.

— Niepodobna! bo choćby bardzo obszerną była *Błyskawica*, nie może jednak pomieścić zapasu powietrza na czas tak długi, zwłaszcza, że każdy z nas oddychając, sporo powietrza zużywa.

— Rzeczywiście, dla człowieka dorosłego i średniego wzrostu, przecięciowa cyfra jest 25 kwart na godzinę, a 20 podczas snu; ale natomiast 30 do 35 przy ciężkiej pracy. Otóż licząc najmniej na godzinę po 25 kwart, to w ciągu 24 godzin wypadnie 600 kwart dziennie na każdą osobę; nie wiem, ilu nas tu jest, przypuśćmy tylko 10 osób, to już potrzeba dla nich kwart 6,000.

— Co w ciągu trzech tygodni przedstawia 6000 pomnożone przez 21, czyli 126,000 kwart powietrza pochłoniętego i zużytego.

— Ależ, — mówiłem dalej, — oprócz oddychania powietrzem, zużyte wydzielamy z siebie pod postacią gazu węglanego, czyli trucizny śmiertelnej; nietylko więc chodzi o wprowadzenie powietrza świeżego, ale też o wypędzenie zepsutego i szkodliwego. To rzecz straszna!

Doktór począł się śmiać.

— Miałbyś istotną przyczynę lękania się o nasze płuca, gdyby *Błyskawica* była zwyczajnym okrętem, ale nasz okręt oddycha na podobieństwo wielorybów. Czy przypominasz sobie ten słup pary, który wyrzucał z takim hukiem, kiedy go spostrzegłeś po raz pierwszy? Wypędzał on wtedy powietrze zepsute, zawarte w jego obszernych płucach, a wciągał znaczną ilość tlenu, które potężne pompy wtłaczały w mocne zbiorniki, zdolne pomieścić, w przestrzeni stosunkowo małej, setki hektolitrów, które za pomocą prostego kranu można dowolnie wypuszczać i zasilać powietrze we wszystkich zakątkach. Co zaś do kwasu węglowego, którego koniecznie pozbyć się należy, pod karą śmierci, przyrządy specjalne oznaczają nam naprzód stosunek, w jakim się znajduje w naszym okręcie; w ostateczności możnaby go zobojętnić odczynnikami chemicznemi, ale prostszem jest wypędzić go na zewnątrz.

— Za pomocą pomp.

— Jakim sposobem?

— Więc należy za każdym razem wypływać na powierzchnię wody, jak to czynią wieloryby i inne morskie zwierzęta, płucami oddychające.

— To niepotrzebne.

— Niepotrzebne? jakto być może? wszakże ciśnienie wywierane przez wodę na każde ciało w niej zanurzone, zwiększa się z głębokością, do tego stopnia, że na 500 metrów w głąb, ciśnienie wody wynosi 1120 funtów na każdy cal kwadratowy, potrzeba zatem, ażeby w pompie mógł działać tłok, któryby podwoił ciężar 5600 kilogramów.

— Dla pompy, elektrycznością poruszanej, takie wysilenie jest igraszką; ale wy, tam w górze, chcę mówić mieszkańcy ziemi, macie tylko wyobrażenia niedokładne o prawach ciśnienia, któremu jednak tak samo podlegacie w powietrzu, jak ryba w wodzie.

— Z tą jednak różnicą, że powietrze lżejsze jest od wody.

— Oczywiście, ponieważ jeden litr powietrza nie waży, jak jeden gram, czyli 770 część litra wody, co wcale nie przeszkadza, z powodu grubości warstwy powietrznej, otaczającej ziemię, że każdy centymetr przestrzeni, wzięty na jej powierzchni, dźwiga na sobie słup powietrza wagi jednego kilogramu, czyli każdy metr kwadratowy 10,000 kilogra-

mów. Że zaś całkowita masa atmosfery wyliczona jest na pięć kwintylionów kilogramów wagi, każdy z nas zatem, nie myśląc wcale o tem, rusza się, biega, skacze, dźwigając na swych barkach ciężar 11,000 kilogramów.

Zrodziliśmy się w tych warunkach, nic więc dziwnego, że się nam czuć nie dają; lecz gdyby zaszło jakiebądź zamieszanie, naruszające równowagę, niechybnie zostalibyśmy zgnieceni.

Przez chwilę trwało milczenie, poczem doktór mówił znowu:

— Dlatego też, jeśli naruszamy równowagę otoczenia, w którem przebywamy, uczuwamy to wyraźnie. Jeżeli naprzykład, wstępujemy na górę wysoką, gdzie powietrze już jest lżejsze, uczuwamy zawroty głowy, utrudnienie oddechu, upływ krwi z nosa. Jeżeli puszczamy sie balonem w jeszcze wyższe warstwy atmosferyczne, te symptomata stają się dotkliwsze, na pewnej wysokości krew ukazuje się jednocześnie nosem i ustami, trudność oddychania może przejść w śmierć przez uduszenie, jak to miało miejsce niezbyt dawno z nieszczęśliwymi aeronautami Sivel i Croce Spineli.

W czczości planetarnych przestrzeni, rozlecielibyśmy się na cząstki z braku ciśnienia zewnętrznego; w głębiach morskich bylibyśmy zgnieceni wskutek nadmiaru tego ciśnienia.

— Jaką naszym badaniom Bóg naznaczył granicę? na to odpowiedzieć nie mogę, — ciągnął p. Durand; — to wiem tylko, że ta granica dalej się znajduje, aniżelibyś sądził. Aeronauta, który prawie jednym skokiem wysoko wznosi się w powietrze, nurek, który, jak kamień spada szybko w głąb jakich stu metrów, w innem otoczeniu znajdują się w jednej chwili bez przygotowania, w otoczeniu, którego zewnętrzne ciśnienie nie odpowiada wewnętrznemu ciśnieniu powietrza, zawartego w ich organach. Skutkiem tego równowaga, starając się ustalić gwałtownie, rozrywa tkanki, które jej stoją na przeszkodzie; lecz jeśli przeciwnie, wznoszą się lub opuszczają powoli, ta równowaga nieznacznie się ustanawia, ciśnienie zewnętrzne odpowiada wewnętrznemu i harmonia nie jest naruszona.

(D. c. n.).



Nauka i rozrywka.

Odkrycia i wynalazki.

Znany fizyk francuski, Dussaud, przedstawił niedawno paryskiej Akademii nauk niezwykle ciekawy wynalazek, który wywołał zainteresowanie nie tylko w kołach uczonych, lecz i wśród laików. Odkrył on mianowicie zupełnie nowe światło, z którego pomocą można przeświecać ciało ludzkie ze skutkiem znacznie lepszym, aniżeli osiągano dotąd, używając promieni Rentgena. Podczas, gdy przy świetle rentgenowskiem występują tylko cienie kości, a dopiero przy użyciu specyalnych środków można zaobserwować niektóre miękkie części ciała, jednakże w dosyć niewyraźnych zarysach — prześwietlenie promieniami Dussauda pozwala rozpoznać bardzo wyraźnie wszystkie części ciała ludzkiego czy zwierzęcego, więc i tkankę mięsną, i arterye, i żyły i t. p.

Najdowodniej przekonały o tem demonstracye, jakiemi Dussaud ilustrował swoją prelekcyę, wygłoszoną w akademii. Z demonstracyi tych zdaje sprawę głośny uczony francuski Branly, który, jak wiadomo, położył wybitne zasługi na polu rozwoju telegrafii bez drutu i w zakresie telemechaniki w ogólności — w słowach następujących:

— Wiedzieliśmy, jak pod wpływem światła ręce trzymane obok stawały się przezroczyste, kości i ciało miały barwę białą i czerwoną, naczynia krwionośne przybierały odcień niebieskawego fioletu. Był to naprawdę niezwykły, nieoczekiwany i interesujący obraz.

Dussaud prześwietlał przed uczonem gronem akademików nie tylko poszczególne części ciała ludzkiego, lecz również w całości mniejsze zwierzęta i wogóle dołączył do swych wywodów szereg niezwykle interesujących eksperymentów. Tak np. można było odczytać treść biletu, umieszczonego w nieprzezroczystej grubej kopercie, można było w zamkniętym zielniku rozpoznać wyraźnie poszczególne rośliny.

Na czem polegają promienie Dussauda i jak się je wytwarza? Wynalazca na razie określił to tylko bardzo ogólnikowo, szczegółowe dane zamierza ogłosić dopiero w przyszłości, po dalszych uzupełniających badaniach, które prowadzi bez przerwy. Obecnie zaznaczył tylko,

że promienie jego należą do zakresu tak zwanego „zimnego światła“. Jak wiadomo, przez określenie takie należy rozumieć tego rodzaju promienie, które składają się wyłącznie z fal świetlnych i którym nie towarzyszą fale cieplne. Promienie tego rodzaju wytwarzają się w zasadzie w rurach, z których zostało wypompowane powietrze, gdy przepuści się przez nie prąd elektryczny. Należą do nich, między innemi, znane objawy świetlne w rurach Geisslera, używanych w rontgenografii, dalej tak zwane zimne światło Moore‘a, które nowoczesna technika w coraz większym zakresie stosuje do oświetlania budynków, jako też inne jeszcze rodzaje światła. Fizycy francuscy w ostatnim zwłaszcza czasie zajmują się bardzo temi zimnemi światłami i dochodzą do coraz bardziej interesujących rezultatów. Wnioskując właśnie z tych prób i z całego kierunku obecnych usiłowań, można przypuszczać, że i promienie Dussauda są prawdopodobnie tak zwanem „światłem szlachetnych gazów“. Jeżeli mianowicie wprowadzi się do rurki geisslerowskiej maleńką cząsteczkę neonu, wówczas podczas przechodzenia prądu powstaje wewnątrz rurki wspaniałe i nader miłe dla oka światło pomarańczowej barwy. Jeżeli domiesza się jeszcze odrobinę helu, światło staje się bardziej żółtawe, wreszcie po dodaniu trzeciego gazu szlachetnego, kryptonu, otrzymujemy światło, które się nie różni niczem od światła słonecznego, od światła dnia.

Amerykańska maksyma: — „szybciej, jak najszybciej“! — staje się coraz bardziej hasłem nowoczesnego życia. Ale w tym samym stosunku wzrasta również nerwowość współczesnych ludzi. I skutkiem tego wynika ciekawe dążenie w podwójnym kierunku: Podczas, gdy jedna armia techników stara się zwiększyć tempo życia, przyśpieszyć komunikacyę, wytwórczość, akcyę codziennego życia, — druga równocześnie dąży do tego, aby wynajdować środki, mogące złagodzić i osłabić wynikające stąd podrażnienie systemu nerwowego ludzkości.

Jednym z aparatów, mających na celu przyśpieszenie i ułatwienie czynności codziennego życia, jest maszyna do pisania. Ale jest ona również aparatem w znacznej mierze denerwującym, jeżeli już nie samego piszącego, to otoczenie. Aby przynajmniej częściowo zapobiedz temu, używano dotąd grubych podkładek filcowych. Rezultat był niewielki, bo główną przyczyną denerwującego stukania, jest uderzenie głosek o walec z twardej gumy. Nowością w zakresie maszyn do pisania, usuwającą dotychczasowe nieprzyjemności, jest maszyna, skonstruowana przez dwóch inżynierów angielskich, Colby‘ego i Kiddera, nosząca nazwę „Noiseless Typewriter“. Stukanie jest tu zupełnie usunięte, dzięki temu, że sztabki z głoskami nie uderzają zupełnie o walec. Wynika to zupełnie z nowego systemu mechanizmu. Walec i czcionki

są umieszczone tuż obok siebie, tak że wystarcza lekki nacisk, aby je zbliżyć. Podczas pisania na tej nowej maszynie, słychać jedynie cichy szmer, wywołany zetknięciem się palców z klawiszami aparatu.

Ale czemże jest ostatecznie stuk maszyny do pisania wobec hałasu, jaki ze wszech stron zakłóca spokój i życie nowoczesnemu człowiekowi? Przez najgrubsze ściany przenika łoskot i dzwonki tramwajów elektrycznych, turkot pojazdów, z dołu, z góry, z boków słychać ćwiczenie się powołanych i niepowołanych na fortepianach, a nowoczesne narzędzie tortury, fonograf lub gramofon, doskonale i dźwięcznie przesyła swój chrapliwy głos z parteru aż do trzeciego piętra. Więc znowu armia inżynierów i wynalazców staje do walki z hałasem. Drewniane bruki lub asfaltowe mają złagodzić turkot wozów, przy budowie domów zaczyna się coraz liczniej stosować materyały, któreby tłumiły głos i zapewniały mieszkającemu posiadanie mieszkania pod każdym względem. Ale problem ściany, nie przepuszczającej fal głosowych, mimo bardzo intensywnych wysiłków, nie został dotąd zadowalniająco rozwiązany.

Interesujące wyniki co do ścian i przenikania przez nie głosu opublikował niedawno profesor Nussbaum z Hanoweru, na podstawie kilkoletnich fachowych badań. Dochodzi on do przekonania, że najlepiej tłumią głos najstarsze i najprostsze ściany, oblepiane gliną, jakie widuje się jeszcze często w naszych polskich wioskach lub małych miasteczkach. Natomiast nowożytne ściany z pustych cegieł i tynku cementowego przepuszczają głos najdoskonalej, zwykłe mury ceglane lepiej już zabezpieczają przed nim. Najłatwiej jeszcze stosunkowo budować podłogi, nie przepuszczające fal głosowych. Podłoga taka składa się z podstawy, na której spoczywa warstwa piasku, a na niej znów warstwa swobodnie leżących płyt korkowych. O ile jednak płyty korkowe są stale złączone z zakryciem zewnętrznem podłogi, głos przechodzi przez nią dość swobodnie. Najmniej jeszcze szkodzi przykrycie korka powłoką z linoleum. Zamiast tapet, należałoby, zdaniem profesora Nussbauma, używać materyi i dywanów. Ogółem badania dowiodły, że nowoczesne materyały budowlane, im bywają droższe i rzekomo doskonalsze, tem lepiej głos przepuszczają.

O alkoholu.

Że alkohol, w jakiejkolwiek formie, niema w medycynie żadnej wartości lekarskiej, na to zgodzono się jednomyślnie na dwunastym międzynarodowym kongresie, jaki się odbył w ostatnich dniach w Londynie specyalnie w kwestyi alkoholowej. Takie sprawozdanie z tego kongresu ogłosiły pisma „Public Health" i „Marine Hospital Service"

w Washingtonie. Sprawozdanie zostało wygotowane przez dra Reid Hunta, szefa oddziału farmakologicznego tych pism.

Dr. Hunt, który brał udział w obradach kongresu, wykazuje, że alkohol, używany nawet w umiarkowanych dawkach, wpływa stanowczo bardzo niekorzystnie na potomstwo i sprawia to, że potomstwo okazuje daleko mniejszą odporność przeciwko chorobom.

W armii brytyjskiej 40 procent żołnierzy jest abstynentów.

Następstwa chciwości.

Chciwość jest brzydką wadą, pociągającą za sobą bardzo często wykroczenia, a nawet zbrodnie. Jeśli staranie się o polepszenie bytu materyalnego jest niemal obowiązkiem każdego człowieka, to nie wypływa jeszcze z tego, by przekraczać granice w tym kierunku i wszystkie swe siły zużywać na zdobycie jak najwięcej grosza, bo wtedy cierpi na tem lepsza cząstka człowieka, cierpi dusza.

Chciwość zabija w nas wszelkie szlachetne uczucia.

Człowiek chciwy zapomina o wdzięczności, jeśli widzi, że ta wdzięczność mogłaby uszczuplić jego mienie. Chciwy staje się nieczułym na nędzę bliźnich, a co najwyżej czułość swą wyraża jedynie słowami, bo jego wada nie pozwoli mu potrzebującym pośpieszyć z pomocą. Chciwy na grosz nie z jednego zrobił już oszczercę, niejednemu z ludzi odebrał dobre imię, bo chciwy jest zarazem podejrzliwym. Jemu się zdaje, że jak on, tak i każdy inny pożąda grosza i mienia, i dlatego w każdym, choćby to był jego przyjaciel, a nawet dobroczyńca, upatruje swego wroga.. Chciwy człowiek nie wierzy w szlachetniejsze pobudki, skłaniające ludzi do czynienia bliźnim dobrze. On jest w tem przekonaniu, że każdy, jak on, jeśli czyni komuś coś dobrego, to czyni to z wyrachowania, z widoków osobistych zysków. Chciwcy zresztą po największej części mijają się ze swem powołaniem. Wybierają zazwyczaj zawód, jak im się wydaje, najzyskowniejszy, bez względu na to, czy mają zamiłowanie i potrzebne uzdolnienie ku temu zawodowi, czy potrafią połączone z nim obowiązki sumiennie wypełnić. Nie jest on ich celem, ale środkiem do zdobycia jak największego mienia.

Psy policyjne.

W wielkich miastach europejskich, a w tej liczbie i w Petersburgu, zaczęto używać psów, jako „agentów policyjnych".

Istnieją dwa rodzaje psów, z którymi w cywilizowanych państwach odbywają się polowania na ludzi: t. zw. psy krwawe i specyalnie psy policyjne. Podczas, gdy psy policyjne zajadle rzucają się na swe ofiary i zapuszczają w nią swe kły — psy krwawe, czyli bluthundy,

ograniczają się tem, że odnajdują tylko ślady poszukiwanego człowieka i znalazłszy go — spokojnie obwąchują jego ubranie, radośnie szczekają i odchodzą na stronę, jakby mówiąc: oto ten człowiek, róbcie z nim, co chcecie.

Bluthund, jako pies policyjny, został wykryty dopiero w r. 1890. W Anglii używanie psów policyjnych jest już rzeczą wszystkim znaną. Właściciele przywożą swe psy w karetach i każą im obwąchać pewnego człowieka, który zaraz udaje się w drogę przez pola i lasy, i stara się przytem na wszelki sposób zmylić drogę; w tym celu przepływa rzeki, przeskakuje przez ruczaje, przełazi przez płoty, włazi na drzewa i jak wiewiórka przechodzi z jednego na drugie, aby zatracić ślad. Nakoniec chowa się w stogu siana, lub na wierzchołku drzewa, czy domu. Pies, puszczony na wywiady, ostatecznie zawsze odnajdzie schowanego, chociaż wiele to go kosztuje nerwów i zdrowia, gdyż nie je nic, za nim nie znajdzie danego człowieka.

Znany bluthund amerykański, „pani Kolumbia", inaczej nie wybiera się na poszukiwania policyjne, jak w powozie. Biegnie on tylko dotychczas, póki nie przekona się, w jakim kierunku należy pędzić za poszukiwanym. Wtedy wskakuje do powozu i, mając zwróconą mordę w stronę, dokąd trzeba jechać, wskazuje drogę woźnicy. Jak widzimy więc „pani Kolumbia" szanuje należycie swoją „godność" i nie marnuje napróżno fatygi. Skoro tylko droga zaczyna się plątać i ślad się traci, bluthund zeskakuje znowu z powozu i odszukuje znowu zgubiony ślad.

Żaden policyant, nawet najsprytniejszy nie dorówna zmysłowi psa policyjnego, dla którego dość tylko powąchać jakąś rzecz, do której dotykał się, lub przy którem był winowajca — aby znaleźć go, chociażby ukrył się w najtajniejszej kryjówce, lub najodleglejszej miejscowości. Dlatego też psy policyjne są fatalną plagą dla wszelkich przestępców.

Obawa przed nimi jest tem większą, że psa policyjnego nie można zmylić, nie można z nim wejść w porozumienie, lub pertraktacye i co najważniejsza — nie można mu dać łapówki.

Nowe zwierzę pociągowe.

Ministerstwo rolnictwa w Stanach Zjednoczonych oddawna przedsiębrało próby w kierunku stworzenia nowej rasy zwierząt pociągowych. W czasopiśmie „Country Life" podał obecnie Mr. R. A. Sturdevant wiadomość o rezultatach, jakie dotychczas wydały te próby uczonych hodowców amerykańskich. Nowy gatunek, nazwany zebroidem, jest owocem skrzyżowania zebry i osła. Stacya doświadczalna pod

Waszyngtonem wyhodowała już osiem zebroidów, z tych dwa liczy już po dwa lata i ważą po 600 funtów, a jak można przypuszczać, dojdą do wagi 800 — 1,000 funtów.

Próby, przedsiębrane z temi zwierzętami, wydały rezultaty wprost nieoczekiwane. Pierwsze to wprawdzie pokolenie dzikich mieszkańców stepów afrykańskich, więc nastręcza pewne trudności w oswojeniu i użyte być może do pracy tylko na drogach ogrodzonych. Ale znakomite właściwości zebroidów, jako zwierząt pociągowych, wydają się wróżyć tej rasie ogromną przyszłość. Przedewszystkiem zebroidy wykazują niezwykłą wytrzymałość, i to zarówno w pracy, jak i wobec warunków klimatycznych: upały i chłody znoszą równie łatwo, a daleko lepiej, niż jakiekolwiek zwierzęta pociągowe dzisiejsze — konie, muły, czy osły.

Na terenie górzystym używane być mogą z równem powodzeniem, jak i na płaszczyźnie, a biedz pod górę mogą bardzo szybko i długo. Podczas upałów nie szukają wcale cienia i nie męczą się w pracy, niemniej doskonale znoszą chłody zimowe. Pokarmu potrzebują daleko mniej, niż konie i muły. Wielkością zbliżone są do pumy.

Obok wyprodukowania tej rasy, czyniono próby w kierunku skrzyżowania zebry z koniem, użyto do tego wspaniałego okazu zebry, podarowanego prezydentowi Rooseveltowi przez cesarza Menelika, oraz klaczy najlepszej krwi. Zebroidy, pochodzące z tego skrzyżowania, są przecież nadto dzikie i niezdatne do oswojenia, by zaraz w pierwszem pokoleniu użyte być mogły do pracy.

Walka z muchami.

Dążąc do zwalczenia chorób zaraźliwych, ludzkość wypowiedziała walkę owadom. Jak wiadomo, np. amerykanie, zająwszy wyspę Kubę po wojnie z Hiszpanią, wytępili w Hawanie żółtą febrę, zabierającą tam rok rocznie setki ofiar, przedewszystkiem zalewając naftą wszelkie kałuże, stawy i ścieki, służące komarom do składania jajeczek, przekonali się bowiem, że głównymi rozsadnikami strasznej choroby podzwrotnikowej są właśnie dokuczliwe te owady, przenoszące przez ukłócie żądłem zarazki ferby z osoby na osobę. Tak samo w Afryce środkowej Anglicy zdołali w niektórych miejscowościach ograniczyć przynajmniej spustoszenia, wywoływane śród ludności miejscowej przez okropną, zawsze śmiertelną, chorobę śpiączki, wycinając zarośla, służące za miejsce pobytu i rozpłodu musze Tsetse, przenoszącej zarazę z człowieka na człowieka.

Cóż dopiero mówić o szkodach, które wyrządzić może ludzkości owad tak rojny i pospolity w lecie, jak nasza mucha domowa, do nie-

dawna jeszcze uważana za stworzenie, coprawda natrętne i dokuczliwe, ale niewinne. Wszak niegrzecznego Tadeuszka ukarał ojciec za to, że nałapał do flaszeczki muszek.

Dzisiaj zmieniły się poglądy na niewinność tego owadu. W Ameryce wytoczono mu nawet wojnę prawdziwą. Zajęło się tem Stowarz. dla zwalczania much „American Civie Association for fly fighting“, które działalność swoją rozwinęło w całych Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Działalność ta ujawnia się przedewszystkiem agitacyą w szkołach początkowych, gdzie wyznaczono dla uczniów nagrody pieniężne za najlepsze wypracowania na temat: „Mucha, jako roznosicielka chorób zaraźliwych“.

Nagrody takie zaprowadzono już w szkołach stanów: Nowego Yorku, Florydy, Tennossee, Luiziany, Kanzasu, Kentucky i Massachusetts, w stanie zaś północnej Karoliny rozdano dzieciom szkolnym ciekawy katechizm musi, zawierający następujące pytania i odpowiedzi:

1) Gdzie rodzi się mucha?

W brudzie.

2) Gdzie żyje mucha?

W brudzie wszelkiego rodzaju.

3) Czy istnieje co zbyt brudnego dla muchy?

Nic, nie istnieje.

4) Gdzie mucha leci, zerwawszy się z nawozu lub ze spluwaczki?

Do kuchni, spiżarni, lub stołowego pokoju.

4a) Co mucha tam robi?

Siada na chlebie, owocach i jarzynach. Wpija łapki w masło i kąpie się w maślance.

5) Czy mucha siada na człowieku chorym na gruźlicę, tyfus lub cholerynę?

Siada i może następnie przelecieć na ciebie.

6) Czy więc mucha jest niebezpieczna?

Tak, mucha jest wrogiem niebezpieczniejszym dla człowieka, niż dzikie zwierzęta i gady jadowite.

7) Co za choroby może przynieść mucha na ciebie?

Tyfus, gruźlicę, cholerynę i inne. Jak? Na skrzydełkach i łapkach kosmatych.

8) Czy mucha zabiła już kogo?

Zabiła więcej żołnierzy podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej, niż kule Hiszpanów.

9) Gdzie zdarza się najwięcej wypadków tyfusu, gruźlicy, choleryny?

Tam, gdzie jest najwięcej much.

10) A gdzie jest najwięcej much?

Tam, gdzie jest najwięcej brudu.

11) Dlaczego powinniśmy tępić muchy?

Dlatego, aby nas nie tępiły.

12) Jak powinniśmy tępić muchy?

Przez utrzymanie czystości, usuwanie brudu z mieszkania i dokoła domu, za pomocą papieru lepkiego, nafty, przyrządów do chwytania much i t. d.

13) Tęp muchy, jak chcesz, abyś je tylko tępił.

14) Jeżeli znajduje się gdziekolwiek brud, którego sam nie możesz usunąć, zwróć się do urzędu zdrowia publicznego i zażądaj pomocy, zanim zachorujesz.

Tak brzmi nakaz, rozdany dzieciom szkolnym w Północnej Karolinie. Prawda, kraj to gorący, ale i u nas, zwłaszcza przy wybuchu jakiejkolwiek choroby nagminnej, rozpowszechnienie rad tych może być korzystne.

Zaznaczyć wreszcie należy, że i jedno z wielkich amerykańskich Towarzystw ubezpieczeń na życie rozesłało pięć milionów egzemplarzy broszury o potrzebie walki z muchami.

Wydatek to olbrzymi, wywołał go jednak dobrze zrozumiany interes własny i bez wątpienia Towarzystwo nie straci kosztów wyłożonych.

Ilu jest lekarzy na świecie.

Według francuskiego pisma „Record medical“ obecnie jest dyplomowanych lekarzy na świecie około 230,000, w tej liczbie w samej Europie z górą 162,000, a mianowicie: w Anglii 34,967, w Niemczech 22,518, w Rosyi 21,489, we Francyi 20,348 i we Włoszech 18,345.



Odpowiedzi od Redakcyi.

W-mu Panu B. R. Broszurkę **„Tajemnice talmudyczne“** posiadamy na składzie. Możemy wysłać na każde żądanie.

W-nej Pani Amelii Z. w W. Redakcya nasza mieści się na piętrze. Wejście jest z bramy po schodach. Fałszywie Pani wskazali sklep na dole od frontu, gdyż takowy wcale nie należy do naszej redakcyi. Należało, wszedłszy do owego sklepu, zapytać się stanowczo, czy tu jest redakcya, a wtedy nie ośmielonoby się chyba wprowadzić Pani w błąd.



Rozwiązanie zagadki,

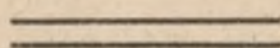
zamieszczonej w zeszycie Czerwcowym:

Atlas geograficzny.



Szarada do rozwiązania.

Pierwsza — litera i *druga* — litera
Trzecia i druga chmiel podpiera.
Druga i czwarta w Indyach wiele znaczy.
Wszystek, jeżeli Polaka zobaczy,
Kipi ze złości, radby polskie plemię
Wytępić, Niemcom oddać polską ziemię.



Humor i Satyra.

Nacyonalista i hakatysta.

— Co tam słychać u ciebie, mój kochany bracie,
Czy bardzo też Polaków z ziemi ich precz gnacie?
Tak raz nacyonalista pytał hakatysty.
A tamten, że był piwosz, a więc człowiek krwisty,
Ciężki i cały w sobie, jak wańtuch nabity,
Odsapnął tylko krótko: — Tak prawie jak i ty.

Chwilowa nieobecność.

Elegancko ubrany młody człowiek każe się zawieźć przed cyrkuł.
Dorożkarz: -- Może wielmożny pan każe mi zaczekać na siebie?
Młody człowiek: — A owszem, jeżeli pan ma tyle wolnego czasu.
Dorożkarz: — A czy pan długo zabawi?
Młody człowiek: — E, nie, tylko tydzień!

Nasze dzieci.

— Bój się Boga, Stasiu! 12 lat jeszcze nie masz, a już papierosy palisz! Cóż to będzie, gdy będziesz starszy?

— Będę palił cygara.

W szkole.

Nauczyciel: — Gapski, jakie jest najdroższe zwierzę?
Gapski: — Słoń, proszę pana.
Nauczyciel: — Dlaczego?
Gapski: — Bo słoń ma wszystkie kości z słoniowej kości, proszę Pana psora!

Historyjka atmosferyczna.

Narzeczoną gdy mą była,
Panią myśli mej.
Często-m widział błyskawice
W czarnych oczach jej.
Dziś, gdy żoną mą została,
Gdy w jej rękach dom.
Bez błyskawic na mą głowę
Często spada grom!

Ubogi.

— Gospodarzu! Choć grosik, bo mrę z głodu, z nędzy! — wołał żebrak, wstąpiwszy w progi pewnej chaty.

— A co wam dać, pieniędzy?
— Jam też nie bogaty,
— Ot, mam chleba świeżego kawał.
— To zjedzcie! — Dziękuje, jam nie głodny!
Zresztą, chleba mam nawał.
— To może kartofli?
— Bóg zapłać, to ciężar nie bardzo wygodny.
A może pan gospodarz ma trochę słoniny...
I co mówić już dalej, to jest biedak? — kpiny!
Dużo takich „ubogich", na kiju podpartych
Żyje w zdrowiu i szczęściu, lepiej od „bogatych".

Na pensyi.

— Moja złota Maniu, będziemy się ze sobą zawsze kochać, a gdy nam wypadnie z kimkolwiek się zaręczyć, zrobimy to razem.

Ze Syonu.

— Dlaczego pan, panie Izaak, chcesz koniecznie dostać miejsce kasyera w banku?

— Nu... człowiek by chciał także kawałek świata zobaczyć!



Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego" upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi, Królowej Nieba i ziemi, poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty, lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski".

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego", Częstochowa, pod Jasną Górą.

Ważne!

W redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego" są do sprzedania

Stacye Męki Pańskiej

olejno malowane na płótnie, rozmiaru większego i mniejszego, do wyboru.

Także jest do odstąpienia dobra kopia obrazu

Matki Boskiej Sykstyńskiej, Rafaela.

„NIEPOKALANA"

Poetycznie oddany hołd Najświętszej Maryi Pannie.

Wydanie wytworne ozdobione ilustracyami w pięknej oprawie. **Cena 1 rb**

* * *

„OJCIEC ZADŻUMIONYCH"

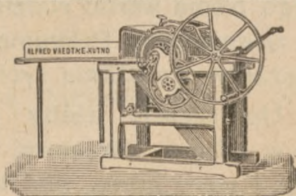
Piękny ten poemat poprzedzony wstępnem słowem J. E. ks. Biskupa Bandurskiego i objaśnieniami zdobi dziewięć kolorowych ilustracyj.

W oprawie z kolorowym portretem Wielkiego Poety — **cena 1 rb. 20 k.**

Znaczna część dochodu przeznaczona na sprowadzenie zwłok do kraju.

Oba te wydawnictwa są do nabycia w Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego".

Gospodarze Rolnicy!



Jeśli macie zamiar nabyć doskonałą MŁOCARNIĘ, MANEŻ lub inną jaką maszynę, nie żałujcie sześciu groszy na kupno karty pocztowej. Wydatek ten sowicie wam się opłaci. Napiszcie natychmiast pod wskazanym na dole adresem, podajcie tylko dokładny swój adres a niezwłocznie otrzymacie bezpłatnie duży illustrowany opisowy i pouczający katalog o Maszynach Rolniczych, który przyniesie wam wielką korzyść i zapozna z nowemi maszynami.

Adresować: **Do Kutnowskiej Fabryki Maszyn Rolniczych** pod firmą **Alfred Vaedtke, Kutno** Warszawskiej gub.

Wszyscy nowi prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“, a także i dawniejsi, którzy nie zamówili dotychczas

„Skarbczyka Polskiego“,

zawierającego **„Obrazy z dziejów polskich“,**

mogą takowy jeszcze nabywać za dopłatą **1 rb.** z przesyłką. Pierwsze sześć tomików zawierają ***„Historyę Polski“,*** „Śpiewy Historyczne“ (z objaśnieniami) J. U. Niemcewicza (z portretami i ilustracyami ważniejszych wydarzeń z dziejów naszych).

Tomik IX ***„Święta Kinga“,*** według Karola Szajnochy.

Tomik X ***„Matka Jagiellonów“,*** według Karola Szajnochy.

Tomik XI i XII ***„Obrona Częstochowy“,*** utwór sceniczny Juljana z Poradowa (grany z wielkiem powodzeniem na scenach polskich).

Wyszło z druku dzieło: **„Bogarodzica naszą Matką“** z illustracyami — przez ks. prałata Fudalewskiego.
Cena 1 rub.

Sześć tomików „SKARBCZYKA POLSKIEGO“, zawierających „HISTORYĘ POLSKI“ **dla Czytelni Ludowych i dla Szkół parafialnych** oddajemy po wyjątkowo zniżonej cenie, to jest za **40 kop.**

ALBUM PAMIĄTKOWE BUDOWY NOWEJ WIEŻY NA JASNEJ GÓRZE W CZĘSTOCHOWIE, cena zniżona: bez oprawy **40** kop., w oprawie ozdobnej **80** kop.

Drobne sumy pieniężne można przesyłać w listach **markami pocztowemi.**

NOWE KSIĄŻKI.

Swieżo wyszły z druku **„PAMIĘTNIKI"**, obejmujące okres od roku 1863 do 1908, napisane przez **Ks. Leona Postawkę** Doktora Św. Teologii Prałata Domowego Jego Świętobliwości Piusa X Rektora Misyi Polskiej w Paryżu. Paryż. **Dwa duże tomy.**

Autor tych pamiętników, będąc młodziutkim księdzem w dyecezyi Kieleckiej, zmuszony był opuścić kraj rodzinny i zamieszkał w Paryżu, gdzie jako dobry Polak gorąco zawsze bierze do serca wszystkie sprawy dotyczące ojczystego kraju i otacza serdeczną opieką braci Polaków na obczyźnie. Z wielką prostotą ale pięknym językiem i nadzwyczaj zajmująco opisane są przez ks. Postawkę wspomnienia z jego życia, w którem los dał mu sposobność kilkakrotnie odegrać pewną rolę tak w Polsce w smutnych i bolesnych przejściach 1863 r. jako też podczas wojny francusko-niemieckiej 1870 r., szczególnie zaś w okresie komuny paryskiej.

Ks. Arcybiskup Lwowski Teodorowicz o Pamiętnikach tych wyraża się w ten sposób: „Jak w bogatym kalejdoskopie, przesuwają się tu historyczne postacie i historyczne chwile, a epoka życia emigracyjnego Polski, życia, o takim bogatym własnym charakterze, tak blizko przez te karty podchodzi ku nam".

Cena księgarska dwóch dużych tomów wynosi 5 rubli. Redakcya jednak „Dzwonka Częstochowskiego", dla swych przyjaciół-prenumeratorów, ustępuje te „Pamiętniki" po wyjątkowo zniżonej cenie, t. j. za **4 ruble.**

Korzyść materyalną ze sprzedaży Szanowny Autor przeznacza na potrzeby Misyi Polskiej.

NA ROK GRUNWALDZKI.

Wyszła z druku wielce interesująca książka z licznemi illustracyami, p. t. **„W szponach pruskiej hakaty"**

Cena 45 kop.

Nabywać można w Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego" w Częstochowie i w księgarni W. Lisowskiej, Marszałkowska № 101.

Nakładem redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego" wyszła z druku i jest do nabycia książka p. t.

„PAMIĄTKA KORONACYI"

CUDOWNEGO OBRAZU MATKI BOSKIEJ

na Jasnej Górze w Częstochowie.

zawierająca dokładny i obszerny opis tej wiekopomnej uroczystości. Książkę, która się powinna znaleźć w każdym domu polskim, zdobią liczne illustracye.

(Dla kupujących w większej ilości, znaczne ustępstwo).

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

Drukarnia Polska, Warszawa, Jasna 18/20.